Nr. 6. Lwów, dnia 20. czerwca 1896. Rok XIX



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z tegorocznych toków cietrzewi.

Gdy nieubłagany ząb czasu na dobre gryźć zacznie ową istotę, co to niegdyś była młodzieńcem pełnym zapału, idealistą, rewolucyonistą, a później — znękanym wiejskim gospodarzem, członkiem Rady powiatowej czasem posłem na Sejm, lub do Rady państwa — a prawie zawsze potulnym małżonkiem — nie dziw, że różne zamiłowania i namiętności, które ubarwiały młodziencze lata tej istoty, zwolna opadać zaczynają, jak pożółkłe listki jesieni, i pozostaje próżnia, monotonna i nudna apatya, wlokąca się gdzieś — aż w inne życie.

Szczęśliw jednak każdy, komu wśród tej próżni — wśród tej ciemnicy — pozostaje jakiś promyk, którego światło jeszcze jako tako przyświeca u niedalekiego kresu. Wierzę, że szczęśliwym jest ten, który umiał dla siebie zachować ten promyk na stare lata, promyk ubarwiający ten zachód jego słońca, jedno jakieś zamiłowanie, którem te późne chwile życia okrasić potrafi.

Dla mnie myśliwstwo stało się tem ogniskiem — i za tę iskrę, wlaną w moją duszę, Świętemu Hubertowi co dzień dzięki składam, bo bez niej, jakże by mi źle było na świecie! Ta z dniem każdym na włosy spadająca ponowa — te nowe bruzdy, co dzień przez troski orane na czole — to zobojętnienie na piękności literatury, malarstwa, muzyki — nowe ideały lat młodych — czyż to nie smutny objaw? Ale tak jest niestety! i to poczucie piękna, z żalem wyznać muszę, tępieje z dniem każdym, ale zastępuje je w pełni, i to w daleko większych niż dawniej rozmiarach, poczucie piękna w arcydziełach przyrody. A zamiłowania i namiętności dawne, w miarę jak tępieją w jednym kierunku, zlewają się w jedno ognisko — w ognisko namiętności myśliwskiej.

Przepraszam szanownych czytelników „Łowca" za ten dziwaczny prolog do opisu moich tegorocznych wypraw na tok cietrzewi, ale piszę to pod wrażeniem niedawno przebytych chwil uroczych i myśli, które mi te wyprawy nasunęły. Dziś, już u schyłku mego myśliwskiego zawodu, zaznawszy tak wiele rozmaitych myśliwskich rozkoszy, śmiało twierdzić mogę, że dla mnie koroną wszelkich łowów jest przedewszystkiem tok głuszczów w górach, a potem — tok cietrzewi. Niema polowania, na którebym dziś jeszcze nie podążył z najwyższą przyjemnością, gdyż wcale popsutym nie jestem — w dowód czego w zeszłym roku, w maju, z zapałem uczestniczyłem przy bardzo ładnie zogarnizowanem polowaniu na chrząszcze, u jednego z moich sąsiadów — ale jeśli o pierwszeństwo idzie, to ze wszystkich łowów, jakie w życiu odbyłem, tym dwom bezprzecznie palmę oddaję.

Od lat wielu tok cietrzewi stał się moją największą namiętnością i celem niezmordowanych badań. Zbierałem zawsze najdokładniej daty i godziny rozpoczynających się toków i ciekawe posiadam w tym względzie zapiski. Co

wiosny poświęcam dni kilka lub i kilkanaście tym ciekawym badaniom i przypatruję się przez całe godziny z najwyższem zajęciem — uzbroiwszy oczy w binokle — igrzyskom, walkom i bezmyślnym, istnie derwiszowym tańcom tych czarnych spiewaków i tancerzy zapominając nieraz o strzelbie i nie chcąc tych ciekawych igrzysk skracać tragicznym epilogiem.

Pamiętam, że jeden z moich przyjaciół, a wierny towarzysz broni, zapisał w korespondencyi do „Łowca“ żartobliwe moje wyrażenie, iż na tok cietrzewi gotów jestem iść zawsze nawet bez strzelby, choćby z wachlarzem lub gitarą. Temu wcale nie przeczę, bo gdyby się taka nawet ewentualność wydarzyła, to i na takąbym się zgodził jak najchętniej — a ubawiłbym się lepiej, niż na owych modnych dzisiaj rzeziach, gdzie się strzela w kociołkach setkami biedne szaraki, lub w ogrodach chowane bażanty.

Dzięki uprzejmości mego kuzyna Jana Urbańskiego, tej wiosny spędziłem kilka poranków, które w szeregu wspomnień moich łowieckich do najmilszych zapiszę. Nie pierwszy to raz miałem sposobność użyć przyjemności polowania na cietrzewie w Poddębcach, ale tegoroczne do wyjątkowych zaliczyć muszę — gdyż o podobnym toku dotąd pojęcia nie miałem. Wśród kilkuletniego zrębu ciągnie się tam wąska, dość długa łączka, przy brzegu której, w gąszczu, urządzono budkę, gdzie zaraz pierwszy poranek przebyłem. — Oto horyzont, na którym się w tym poranku najciekawsze odgrywały epizody przed oczyma mojemi i kilku innych uczestników tej wyprawy. O brzasku — już szum skrzydeł z rozmaitych stron nadlatujących kogutów odrazu moje nerwy myśliwskie do najwyższego diapazonu nastroił. Ciemno było jeszcze w około, więc zrazu tylko zmysłem słuchu mogłem używać tych rozkoszy. Rozpoczął się wnet spiew choralny roznamiętnionych spiewaków. Chóru tak doskonale dobranego nie słyszałem dotąd nigdy w lwowskiej operze ani operetce. Ilu członków na ten chór się składało, w przybliżeniu nawet nie śmiem podać, ale było ich z pewnością o wiele więcej, niż w personalu chórzystów i chórzystek we Lwowie podczas przedstawienia Proroka lub Aidy. Od czasu do czasu słyszeć się dawało poważne solo wielkiego tenora, niby Mierzwińskiego lub Myszugi, którego dźwięki unosiły się nad choralnym spiewem. Było to bełkotanie mistrza sztuki — starego koguta — które zagłuszało spiewy jego młodszych braci. — Był to koncert nad koncertami — chociaż czysto wokalny, bez akompaniamentu — gdyż ci wielcy artyści, oprócz lir u swych czarnych ogonów, żadnych do akompaniamentu instrumentów nie posiadają. Niech mi przebaczą wszyscy melomani, jeśli wypowiem otwarcie, że ja, który słyszałem ongi koncerty Liszta, Tausiga, Rubinsteina, Sarassata, Wieniawskiego, Paderewskiego, dziś już ten koncert poranny w Poddębcach nad tamte wieczorne przenoszę.

Zapiski moje dotychczasowe, w obec doświadczeń zebranych w tym roku, okazały się całkiem fałszywymi, a przynajmniej niedokładnymi i wrzucić je można do kosza. Tak mi się z początku już wydawało. Wszystkim nagromadzonym przezemnie dotychczas teoryom, praktyka fałsz zadała i z żalem powiedzieć sobie musiałem: „*Die Kunst geht betteln*“. Zadziwiającą jest rzeczą, że przy tych samych warunkach atmosferycznych, czarni spiewacy pierwszego poranka już przed godziną pół do trzeciej rozpoczęli swój koncert, tak, żeśmy się na tok spóźnili, i spłoszyli je zachodząc do budek — nazajutrz zaś do godziny pół do czwartej, gdy się już promienie słońca z poza lasów wychylać poczęły — ich kapelmistrz nie mógł się jeszcze zdecydować, by swą batutą dać znak do rozpoczęcia koncertu. Czyżby ich chronometry tak niedokładnymi były, że tak nadużywają cierpliwości słuchającej publiczności? Ale bo też w istocie ta cierpliwość na ciężką próbę jest narażona w takich razach, gdy myśliwy, o zmroku jeszcze, zasiadł już w budce i wprawnem uchem dobrze znanych mu głosów budzącej się przyrody śledzi. Naprzód w dali zajęczał już smętny, żałośny spiew żurawia, podobny do okrzyku rozpaczy matki, której dziecię odrywają od łona. Już i kukułka monotonne swe „kuku“ z pięćdziesiąt razy wygłosiła, myśląc podczas tego nudnego monologu, czy w gniazdo pliszki, czyli też w gniazdo czeczotki bezpieczniej będzie swe jajo podrzucić. Kaczki dzikie, jakby jakie duchy nocne, szybują w rozmaite strony, naśladując, ale bardzo niedokładnie, skrzydłami świsty lokomotywy. Krzyk unosi się także z bagna, i niewiedzieć w jakim celu udaje latającego barana. Nawet słonka — gość ze Wschodu — którego przybycia z bijącem sercem oczekiwaliśmy daremnie od marca w tym roku — pospiesznym jakimś oryentalnym pociągiem przybywszy dopiero w kwietniu, pociąga także nad budką — chrapiąc myśliwemu do ucha zakatarzonym głosem: „Za późno! Za późno!“ W gaju już i słowik nawet zaczyna wywodzić swoje trele, czem mógłby uszczęśliwić niejednego poetę i niejedną zakochaną parę, ale nigdy myśliwego, oczekującego w budce toku cietrzewi. Cień jakiś żółty przesuwa się przez łąkę: to niewinny, dobroczynny mykita tak się zakrada do gniazd ptasich, jak żyd lichwiarz do kieszeni szlachcica. Na widok tego rabusia gniew straszny opanowuje myśliwca — ale gniew bezsilny; półgłosem tylko miota na zbrodniarza krocie obelg, jakich nie słyszał nawet żaden minister w parlamencie...

Taki to pełen pessymizmu i o ponurach barwach obraz malują przed wyobraźnią myśliwca zniecierpliwionego te urocze zazwyczaj objawy budzącej się ze snu przyrody, które by się tam, bez wątpienia, w poetyczniejszych kształtach odbiły, gdyby nie to oczekiwanie cietrzewiego toku. Darmo — w obec tego oczekiwania upragnionych gości, wszelkie inne życiowe objawy w przyrodzie wydają się mdłe, nudne i natrętne. — Ale już zbliżający się wschód słońca zapalił kinkiety do spodziewanego koncertu — a dotąd jeszcze nie podnosi się kurtyna! Artyści śpią jeszcze czy wypoczywają po wczorajszem świetnem przedstawieniu? Publiczność się niecierpliwi, lecz wszelkie stukania i oklaski, oznaczające w teatrach tę jej niecierpliwość, tutaj są bezwzględnie wykluczone. — A i tu przecież, w liczbie widzów, tylu jest krytyków i recenzentów, jakby na przedstawieniu opery lub baletu. Biada artystom jeśli niecierpliwość, spowodowana opóźnieniem przedstawienia, wywoła zły humor recenzentów! Wiemy bowiem niestety z doświadczenia, w jakich to rękach pióro krytyka u nas zazwyczaj spoczywa! Myśliwy w budce ma tę niezaprzeczoną wyższość nad recenzentem teatralnym, że doczekawszy się nareszcie chwili, choćby spóźnionego koncertu, używa go w całej pełni, zapomina chętnie wśród niecierpliwości przebytą zwłokę — i nigdy potem artystów po czasopismach nie szkaluje. Choć się koncert i spóźni, to widz może być pewnym, że ci artyści kontraktu zawartego nie złamią nigdy — bo bezrobocie na szczęście jeszcze im nieznane — i całą swą partyturę, choć nieco później, najsumienniej odspiewają.

Takich to uroczych poranków przybyłem kilka w tym roku w Poddębcach, i odjeżdżając z miłemi nad wyraz wrażeniami w duszy a z tęsknotą w sercu, miałem na ustach modlitwę do Świętego Huberta, ażeby — jeśli Bóg da

życia — na przyszły rok w kwietniu, właściciel Poddębiec o mnie nie zapomniał. — Na zakończenie tego sprawozdania należałoby może uczynić wzmiankę o uprzejmości i gościnności gospodarza, jak się to do znudzenia spotyka we wszystkich prawie sprawozdaniach w „Łowcu". Powstrzymam się jednak od tych zużytych i tkliwych frazesów, któreby doprawdy już raz powinny wyjść z mody, gdyż są zaiste zbytecznymi tam, gdzie jest mowa o staropolskim domu. Ktoby wszelakoż jeszcze tutaj miał jakąś wątpliwość w tym względzie — tego odsyłam do wszystkich uczestników tegorocznych łowów w Poddębcach.

* * *

Gdy mi tak „zbiegły już dni wesołe w Aranjuez pobytu", pojechałem stamtąd do Dmytrowa, gdzie co roku lustracye lasów odbywam z początkiem maja, by zarazem jeszcze nieco zarwać cietrzewiowych toków i tak połączyć *utile dulci*. Ponieważ te dobra są wydzierżawione, a z leśniczówki, w której staję główną kwaterą, zbyt wielka odległość do tokowisk, aż na drugim końcu odległego rewiru Straszów, dokąd blisko dwie godziny po nocy i po niegodziwych drogach jechaćby trzeba — zupełnie koczowniczemu oddają się tu życiu. Po ukończonych dziennych zatrudnieniach wyjeżdżam wieczorem wozem do lasu i obieram sobie miejsce na obozowisko, od tokowisk nie bardzo odległe, i tu na wozie wyścielonym sianem, burką okryty, przy ognisku spędzam część nocy, kołysany do snu spiewem słowików i ciągłem gwizdaniem żółwi, ktorych w tutejszych bagnach i potokach jest bardzo wiele. Nie pamiętam, czym kiedy rozkoszniej sypiał w życiu, chociaż, co prawda, snem gorączkowym, bo snem przedtokowym, a pod opiekuńczemi skrzydłami dwóch gajowych, których było obowiązkiem odgrywać rolę budzików w stanowczej godzinie.

Tu znów nowy przedstawia się obraz, a właściwie obraz dawny, tylko w nowych ramach. Wzdłuż całego Straszowskiego rewiru ciągną się okiem nieprzejrzane łąki, które gdzieś w dali aż pod nieboskłonem giną, a po jednej stronie opierają się o szarzejące daleko lasy Połonicznej. po drugiej zaś o lasy Ohladowskie. To ulubiona, popisowa arena cietrzewi tutejszych i wędrownych artystów, przylatujących z dalekich okolicznych lasów co rana na gościnne występy taneczno wokalne. W istocie tu koncert mniejszą od baletu odgrywa rolę. Przez długie godziny widz ze swej loży, patrząc przez binokle, rozkoszuje się widokiem derwiszów-tancerzy, tych istnych kapłonów Proroka, wirujących w bezmyślnych skokach, jakby w katalepsyi, i zachodzących się od roznamiętnionego, rytmicznego śpiewu — którzy chwilami przemieniają się w smukłe bajadery, i wykonują istny taniec śród mieczów, między kępinami i kretowinami. A tak obszerna jest tu arena, że widz ogląda równocześnie całą ich falangę, i przez cały czas przedstawienia ani jednego artysty z ócz nie straci. Te widowiska niezrównane, prócz przyjemności jaką mi sprawiały, wzbogaciły mnie w nowy zasób spostrzeżeń, z któremi choć w części radbym się podzielić z łaskawym czytelnikiem. Czynię to w skromnych tylko rozmiarach, bo nie każdemu jest dane piórem Władysława Spausty opisywać przyrodę. — Otóż te widowiska pogodziły mnie znów z mojemi dawnemi notatkami, które z tryumfem mogę znowu wydobyć z kosza — bo wypadki późniejsze jak najdokładniej znów się z niemi zgodziły.

Działo się to już 8go maja. Brak punktualności w dotychczasowem pojawianiu się spiewaków przypisuję nieustaleniu się dotąd toków z powodu spóźnionej wiosny. Nauczony długoletniem doświadczeniem, li tylko za przygrywkę uważam, czasem nawet już w marcu rozpoczynające się spiewy. — Zlatujące się bezładnie koguty rozpoczynają karuzele, tany i walki na zabój, pierze się sypie pod uderzeniem ostrych dziobów — są to prawdziwe gladiatorskie zapasy — a zalotne cieciorki ze swych balkonów przypatrują się tym igrzyskom, głośnem gdakaniem zachęcając zapaśników do walki. Ci rycerze, którym te głosy bogdanek widoczne sprawiają roztargnienie, zapominają prawdopodobnie spojrzeć na zegarek i topograficzne zaniedbują studya. Zmieniają co chwila swoją popisową estradę i stają się nad wyraz wszelki płochliwymi i ostrożnymi. — Zupełnie rzecz się ma inaczej, gdy toki są już ustalone — co wtedy dopiero nastąpi, gdy już cieciorki na gniazdach osiędą i już swym czarnym małżonkom roztargnienia nie sprawiają. Nie pamiętam, ażebym się był kiedy, przed początkiem maja, z prawdziwie ustalonym tokiem spotkał. Bardzo charakterystyczne są tegoż cechy. Z niezwykłą punktualnością rozpoczyna się wtedy przedstawienie, tak, że zaledwo parę minut różnicy z dnia na dzień spostrzedz w tem można. Koguty z różnych stron zlatują się, jakby na komendę i każdy zasiada na wybranem sobie od dawna miejscu; harmonia jakaś dziwna już zapanowała między nimi; walki i nieporozumienia stają się coraz rzadsze, każdy pozostaje, przez cały czas prawie, na swojem stanowisku — zadowalniając się przestrzenią zaledwo kilku metrów kwadratowych — wśród tańców i spiewu przypatrując się ciągle jakiejś wybranej przez siebie kępinie, tak, iżby się wydawało, że tam fotografię swojej bogdanki umieścił. Zadziwiającą wtedy w istocie jest ich obojętność na huk palnej broni, zwłaszcza, gdy już po wschodzie słońca nie widny jest ogień z lufki wychodzący. — Czy one wystrzał biorą za piorun, czy za huk walącego się zrąbanego drzewa, do czego od pisklęcia już przywykły? — tego niewiem — ale tego zobojętnienia nie dostrzegłem nigdy przy rozpoczynających się tokach. Zdawałoby się, iż i cietrzewie podczas toku znajdują się w stanie ubezwładnienia. w jaki zapadają głuszce między telękaniem i szlifowaniem, ale nie radzę nikomu na to się spuszczać: lada głos ludzki, kaszel lub kichnięcie — wychylenie się z budki — słowem widok człowieka wystarcza, by tych kataleptyków do życia powołać. W jednej chwili całe ich zastępy na raz odlatują — i tok cały popsuty. Niech więc każdy myśliwy o tem pamięta, by żadnym fonetycznym sposobem, ani ukazaniem się, nie spłoszyć tych czujnych spiewaków, a jeśli i nazajutrz ma jeszcze zamiar polować, niech nie opuszcza swej budki, dopokąd ostatni z artystów nie usunie się za kulisy. Przekonałem się bowiem, że i nazajutrz spłoszone pojawieniem się myśliwego koguty swoich dawnych tokowisk unikały.

Przypomina mi się tu komiczny epizod, który spotkał raz jednego z moich towarzyszy. Obskoczyło jego budkę bardzo liczne stado cietrzewi i rozpoczęły wnet wytańcowywać tropaka, przyspiewując sobie z fantazyą, jakby Maciek na weselu. Skoro się na dobre rozwidniło, padł z budki strzał pierwszy: kogut wśród tańcu krąg zatoczył, nakrył się lirą i padł trupem; po strzale drugim podobnyż los spotkał i jego najbliższego towarzysza; a reszta biesiadników nie przerwała wcale swojej zabawy, hulając dalej wesoło obok trupów swych poległych braci. Strzelba w jednej chwili nabita zagrzmiała znów dwa razy, ale już z odmiennym skutkiem, a tańce dalej trwały nieprzerwanie. Jakaś silna gorączka opanowała wtedy myśliwca i dalsze nabicie strzelby na zbyt wielkie natrafiło przeszkody; nie mógł zrazu znaleść torby z ładunkami, a gdy ją odnalazł, ładunki tak poplątały się jakoś w siatce, że nie można ich było rozplątać. A tu, jakby na złość, koguty grają ciągle i je-

szcze się bardziej do budki zbliżają. Do ostateczności doprowadzony, zniecierpliwony strzelec, zapominając o wszelkiej przynależnej etykiecie, z rozpaczy na głos wykrzyknął: „Bodaj cię dyabli wzięli!“ Więcej nie było potrzeba: ptaszęta frunęły bardziej przestraszone tem przekleństwem, niż najsilniejszą salwą manlicherów — i już więcej nie powróciły. Spełniło się jak najdokładniej życzenie myśliwego, bo tok w istocie: „dyabli wzięli“.

Jeszcze jedno ciekawe zrobiłem tam spostrzeżenie. Oto gdy się przedstawiania kończyły i artyści wracać mieli za kulisy, część ich tylko wracała do Straszowa, reszta zaś, wzbijając się w dwie grupy, odlatywała do lasów Połonicznej i Ohladowa, o kilka kilometrów oddalonych. Kilka razy, z ciekawości, kazałem przegonić z nagonką cały ten rewir i przekonałem się, że nigdy nawet trzeciej części nie zgoniono tam tej ilości kogutów, ile ich codziennie na toku widywałem. Niech się więc nie łudzi żaden posiadacz lasów, w których się toki znajdują, że swoją tylko tam widzi zwierzynę, bo ci wędrowni spiewacy z bardzo odległych stron chętnie na te swoje ulubione zbiorowiska przylatują.

Nie przestanę nigdy wznosić błagalnego głosu do wszystkich właścicieli lasów zamieszkiwanych przez cietrzewie, by tego szlachetnego ptaka, tę prawdziwą ozdobę naszych borów, jak najstaranniejszą opieką otaczać raczyli. Niech zalecają swej straży gorliwe tępienie drapieżników i aby się o to starano przedewszystkiem, by pastuszki, wałęsający się z bydłem po łąkach i lasach, jak najmniej jadali cietrzewiej jajecznicy. Nagrodą za te trudy będzie im, w porze, w której wszystkie inne łowy ustają, polowanie tak pełne uroku na tego ptaka, przeciw któremu nawet poseł Romańczuk nie będzie śmiał rozpoczynać krucyaty, jako przeciw niszczycielowi włościańskiego dobrobytu.

Wypadałoby tu może jeszcze coś wspomnieć i o mojej osobistej działalności — w ogóle coś o rozkładzie. Wolałbym się od tego powstrzymać, przez wzgląd na moją myśliwską sławę, ale ścisłość opowiadania na to nie pozwala. Uwagi i wskazówki, które tu nakreśliłem dla użytku łaskawych czytelników „Łowca“, nie były czerpane z opowiadań cudzych, ani z ksiąg, pisanych przez naturalistów zazwyczaj przy zielonym stoliku, lecz zdobyłem je długoletniem, własnem doświadczeniem, na zielonych łąkach i kniejach, i o to mi właśnie chodziło. Lecz to ze wstydem wyznać muszę, że w ciągu tych 11 nocy, spędzonych z rzędu w lasach tej wiosny, strzelałem do 14 kogutów — a z tego tylko 8 podniosłem. Cóż się z resztą stało? — słusznie łaskawy czytelnik zapyta — wszak do siedzącego na łące koguta chybić nie można? Jakąż mam na to odpowiedź? Chyba tę, że w strzelaniu, tak jak w każdej innej sztuce, krytyka jest łatwiejszą od samego wykonania. Gorączka myśliwska, biorąca czasem górą nad spokojem badacza — złudzenia optyczne, wywoływane łamaniem się światła księżycowego z brzaskiem dziennym — a wskutek tego fałszywe ocenienie odległości — oto są czynniki, które może jako tako usprawiedliwiają to moje strzeleckie niepowodzenie.

Może kto z moich myśliwskich kolegów, czytając to moje wyznanie, powie z uśmiechem na ustach: „Taki strzelec powinienby już w istocie chyba tylko na chrząszcze polować!“ Być może, że i to się wkrótce stanie, bo niewątpliwie, że w tym roku lepszym byłem biografem cietrzewi, niźli ich mordercą. Ale jak dotąd, wyznać muszę, że z tych moich tegorocznych 11 nocy nad wyraz wszelki jestem zadowolony. Powróciłem zdrowszy, odświeżony na ciele i umyśle, i jakby odmłodniały — i teraz kończę to moje sprawozdanie, zasyłając z gorącego serca życzenia najszczersze wszystkim moim młodszym braciom w Świętym Hubercie, by im Pan Bóg pozwolił — gdy dojdą do lat moich — także tak 11 nocy z rzędu, pod gołem niebem, bezkarnie przepędzać na cietrzewich tokach — brodząc godzinami po bagnistych łąkach — a nie znać pomimo tego ani śladu kataru, reumatyzmu ani innych dolegliwości. Niech ich zawsze Stwórca obdarza tem zdrowiem, siłą i wytrzymałością, które z łaski Jego są dotąd jeszcze moim udziałem — i niech zachowa w ich duszy ten zachwyt dla wdzięków przyrody i tę iskrę myśliwskiego zapału, która późniejsze chwile życia tak jeszcze ubarwia.

Podkamień w maju 1896.

Leopold hr. Starzeński.

Łowy na rosomaka w Szwecyi.

Podług E. Hemberga.

Z chaty Sjula Lenty, leżącej tuż przy leśnem urwisku, które powstrzymuje gniewne fale Storawanu, wznosił się przeźroczysty niebieskawy słup dymu. Fale ściął już mróz w bryłę lodu, a zawierucha północna, miotąc śniegiem po skałach, okrywała, jak gdyby ciepłym puchem, skostniałe, lodowe zbocza gór.

Było dyabelnie zimno, prawdziwy mróz szwedzkiej Laponii, 40 stopni poniżej zera. I ja i moi koronni strzelcy czuliśmy go dobrze. Oddech nasz krzepł zaraz koło ust w tuman kryształków lodowych, pod naciskiem sleterów skrzypiał śnieg zamarznięty, a z głębi lasu, z pośród potężnych kolosów świerkowych, dochodziły nas od czasu do czasu jakgdyby strzały, świadczące, że pnie od mrozu pękają. Lecz nam, mieszkańcom puszcz z dalekiej północy, podoba się taki czas; witamy z radością pierwszy mróz, bo wybawia nas od ukłuć całej chmury komarów — witamy z radością burzę śnieżną, bo ściele nam drogę przez czeluście górskie.

Do południa skończyło się wyznaczanie drzew w należących do korony puszczach świerkowych. Pomocnicza czeladź, sprytni osadnicy, pożegnali mnie i spieszyli rozmaitemi drogami do rodzinnych ognisk; ja zaś w towarzystwie dwóch strzelców koronnych spuszczałem się na sleterach aż nad brzeg Storawanu*), kierując się ku słupowi dymu, wznoszącego się po nad chatą Sjula Lenty.

Z szumem i kurzem śnieżnym lecieliśmy jak wicher ku chacie Lapończyka, ale flinta wisiała silnie na ramieniu,

*) Storafvan, jedno z długich górskich jezior w Szwecyi północnej, zamieszkałej już przez Lapończyków.

a długi kij z krążkiem oddawał dobre usługi jako hamulec, gdy jazda stawała się zbyt szaloną, lub łomy świerkowe zagradzały drogę.

Zaciekłe szczekanie psów zwiastowało lapońskiej rodzinie przybywających gości; niebawem też rogata czapka*) Sjula Lenty ukazała się w drzwiach chaty.

— *Puorist* — rzekł gospodarz witając mnie — *maktes wiesat?* (Dzień dobry co słychać?) Był widocznie zadowolony z naszego przybycia.

— Dobrze, mój Sjulu, jak widzisz — odparłem — Chciałbym godzinkę przy twoim ogniu odpocząć, a ty mi tymczasem opowiesz, czy twoi ludzi nie spotkali gdzie wilczych tropów?

— Nie tylko ogrzejesz się przy moim ogniu — rzekł gospodarz — ale dopomożesz także Sjulowi wypróżnić kociołek, co nad ogniem wisi.

Krępy, mały, lecz silnie zbudowany Lapończyk rzekł to ze stanowczością, która nie znosi odmowy. Wsunął nas przez drzwi i wkrótce siedzieliśmy naokoło ognia, wyławiając nożami myśliwskimi kawałki tłustego, reniego mięsa z kociołka, w którym wśród kłębów pary wrzało bezustannie.

Po obiedzie napchaliśmy czarnym wirginijskim tytoniem krótkie lapońskie fajeczki z gliny lub z żelaza. Palił także Sjul Lenta i akta (gospodyni domu) a nawet małe nejtorny (dziewczęta, córki) z wspaniałymi warkoczami, w czerwonych, szpiczastych myckach, cmokały gorzki dym z ozdobnych fajeczek żelaznych.

Tę wygodną siestę przerwało ponowne szczekanie psów i wkrótce otwarły się z trzaskiem drzwi do chaty. Ukazał się w nich jeden z parobków Lenty; policzki jego pałały, a pierś wznosiła się i opadała gwałtownie wskutek zmęczenia.

— Sjul Lenta! — zawołał — nieszczęście! Rosomak zagryzł nam reny i rozpędził całe stado.

— *Ferkele!* (Do dyabła!) — krzyknął Lenta zrywając się gwałtownie z siedzenia, jakgdyby był na sprężynach.

— Trzech ludzi na sleterach i trzy flinty daję ci natychmiast do pomocy — odezwałem się do gospodarza. — A jeśli psy twoje są co warte, to przyrzekam ci futro z rosomaka, jeszcze nim gwiazda wieczorna zabłyśnie.

Jakoż jedną myślą powodowani chwyciliśmy za strzelby i po kilku minutach sunęliśmy już po śniegu na sleterach w ślad za parobkiem, ku miejscu, gdzie rosomak gospodarował.

Rosomak ma się tak do renifera jak lis do gęsi. Jestto trafna zoologiczna analogia. Lis wszakże morduje z pewnym humorem, rosomak zaś po barbarzyńsku, *en masse*, wcale bez humoru. Zabija jedno po drugiem, ile może, i rozkoszuje w gorącej krwi i drgającem ciele swych ofiar. Morduje ze srogością rafinowaną. To też zbój ten o przerażających pazurach, gibkiem ciele i krótkim puszastym ogonie, towarzyszy wszędzie pasącym się stadom renów.

Przytulony mocno do zwalonego pnia drzewnego, lub rozciągnięty płasko na odłamie skały, czycha na poruszające się zwolna i pasące się zwierzęta. Reny nie trzymają się blisko siebie, lecz pasą się rozrzucone pojedyńczo na większej przestrzeni. Czyste a mroźne powietrze zda się być bez ruchu, żaden powiew nie przynosi pasącemu się zwierzęciu wieści o czyhającym wrogu. Zwolna posuwa się ren naprzód, bez celu, rozgrzebując śnieg i wyszukując co pożywniejsze mchy i porosty; od czasu do czasu podnosi łeb do góry, aby ściągnąć nitkowate porosty, które jak welon żałobny zwieszają się z gałęzi drzew tej dalekiej Północy.

Wtem wypada jak strzała jakiś czarny potwór z zasadzki. To rosomak. Skacze renowi na piersi, zatapia swe okropne pazury w łopatkę, a zębami wpija się w szyję zwierzęcia. Napadnięte zwierzę rzuca się zrazu w górę, wydaje pełen trwogi ryk przedśmiertny i pada na ziemię. Ciemno znaczone cielę, przerażone napadem, ucieka na razie od matki, ale nie przeczuwa całego niebezpieczeństwa, krąży więc na około, to znów staje, nadsłuchuje i zwabia inne pełnymi skargi tonami. Wtedy rosomak porzuca dogorywającą krowę, czołga się dalej poza złomy i wały śniegu, wypada potężnymi skokami na lamentujące cielę i zagryza je nieopodal matki.

Scena mordu skończona. Morderca pożera chciwie dgrające jeszcze mięso, a martwa, skostniała natura Północy patrzy na to jak obojętny świadek. Wszak tu szło tylko o życie dwojga istot, a ileż nowych istot powoła do życia bujna wiosna, gdy słońce do północy nie będzie schodziło z horyzontu!

* * *

Po szybkim biegu na sleterach przybyliśmy dość wcześnie z dwoma lapońskimi długowłosymi psami na miejsce zbrodni. Młody ren z przegryzioną szyją leżał na mocno sfarbowanym śniegu. Rosomak gościł przy nim widocznie dość długo, gdyż brzuch był rozszarpany, kawały mięsa poodrywane, a skóra oddarta wisiała szmatami po bokach.

Dałem mym strzelcom rozkaz, by starali się wyśledzić trop zwierza.

— Woj! woj! — narzekał Lenta — oto już dziesiąty ren, którego w ciągu ostatnich dwóch tygodni dzikie zwierzęta rozszarpały. W cielsku każdego wilka siedzi dyabeł, ale w cielsku rosomaka dwóch!

— Uspokój się Lenta! — rzekłem — krew tego zbója sposoczy niezadługo biały śnieg, jeżeli się tylko w niedostępnych pieczarach nie ukrył.

Tymczasem wrócili moi strzelcy i zameldowali, że znaleźli trop umykającego rosomaka. Urządziliśmy tedy łowy w ten sposób, że Lenta ze swymi psami poszedł za tropem, podczas gdy my pomykaliśmy bokami w tym samym kierunku.

Teren był strasznie trudny. Skaliska i złomy drzew tamowały pochód co chwila, droga szła to w górę to na dół przez głębokie jary.

Dobre pół godziny, nie mówiąc ani słowa do siebie, szliśmy już za wijącym się tropem rosomaka, gdy wtem psy zaczęły głosić. Ich długie, donośne szczekania rozlegały się daleko wśród milczącej puszczy. Głos ten oddziałał na nas tak jak trąbka na konia kawalerzyckiego. Kije wciskaliśmy z energią w śnieg i wytężaliśmy mięśnie nóg, aby tylko sunąć dalej na sleterach, nie zwracając uwagi czy to skała czy przepaść przed nami. Każdy obrał sobie teraz swą osobną ścieżkę i wkrótce byliśmy w lesie rozprószeni.

Rosomak pomyka długimi skokami i łatwo od psów się odsadza. Ucieczkę po śniegu ułatwiają mu szerokie, włosem porosłe i obramione podeszwy stóp, które się mało w śnieg zapadają. Ale brak mu tej wytrwałości, jaką pies posiada i to go gubi. Psy ujadając wściekle są ciągle na tropie i nie dają drapieżcy ani chwili spoczynku. On tymczasem zatacza szerokie koła po lesie, zbliża się do terenów skalistych, wspina się lub potężnymi skokami wyskakuje na złomy skał — lecz w końcu siły go opuszczają. I ten krwiożerczy zwierz, który był zdolny rosochatego rena obalić i rozszarpać, umyka coraz słabiej przed psami, aż wreszcie

*) Czapki Lapończyków o czterech ostrych rogach, przypominają ciężką, szeroką w górze konfederatkę.

przyjmuje pozycyę obronną na odłamie skały, lub chroni się pomiędzy gałęzie drzewa. I tu i tu nie da się psom, jest bezpieczny od ich dalszego pościgu — ale cóż, kiedy za psami zdąża łowiec z kulą śmiertelną, która zwierza na wet na szczycie skały i na drzewie dosięże.

Psy głosiły to na górach, to w głębi jarów, czasem gubił się całkiem ich głos, to znów wypływał silniej z głębi puszczy. Każdy z myśliwych kierował się na swą rękę, idąc za ich głosem. Lecz dzień miał się ku końcowi, słońce zapadało już pomiędzy ostre, na fioletowem tle nieba rysujące się załomy gór. Mróz pociskał coraz większy, a oddech, wyrywający się ze zmęczonych płuc, utrzymywał się w powietrzu długo jako mgła śnieżysta.

Wtem zagrzmiał strzał i odbił się echem od skalistego urwiska. Psy docierały widocznie do rosomaka, bo szczekanie ich stawało się coraz zajadlejsze. Z każdą sekundą zbliżały się coraz bardziej ku mnie.

Przytulony do świerka, trzymając strzelbę w pogotowiu, czekałem. Naraz wysuwa się ku mnie czarny, kudłaty zwierz o krótkim ogonie i odcina się ostro jak sylwetka na białem tle śniegu. W powolnych skokach idzie wprost ku memu stanowisku, a psy tuż za nim. Widocznie jest postrzelony, gdyż nie biegłby tak wolno. Wziąłem go na cel i gdy był na jakie 50 kroków, dałem ognia. Rosomak runął na ziemię, lecz wnet się podźwignął i stanąwszy do obrony, wyczekiwał natarcia psów.

Zaraz przy pierwszem natarciu, został najodważniejszy pies ciężko skaleczonym. Ostre pazury rosomaka dały mu się we znaki. Ociekając z kilku ran w bok zadanych i skowycząc przeraźliwie, powlókł się biedny pies na bok, zdala od walki.

Podczas gdym szybko ładunki do strzelby wkładał, krążyły pozostałe dwa psy naokoło rosomaka, ujadając wściekle, gdyż podniesione potężne łapy, błyskanie kłami i prychanie trzymało ich w przyzwoitej oddali. Wtem kula, skierowana z mej strzelby w głowę rosomaka, położyła koniec tej scenie. Zwierz padł na śnieg, a psy rzuciły się na dogorywającego.

W tejże chwili przypadł ku mnie lecący z góry Sjul Lenta. Spojrzał na leżącego bez życia wroga śmiertelnego, a potem wśród wybuchów radości chwycił mnie w objęcia. Ubity rosomak tyle znaczy dla Lapończyka, co dla jenerała zdemontowane działo — mniej o jednego niszczyciela.

Powoli ściągnęli się ku nam i inni. Idąc na mnie, był już rosomak istotnie przez jednego z mych strzelców postrzelony; kula jego tkwiła w mięśniach szyi tuż przed łopatką. Moja pierwsza kula była już śmiertelną.

Urządziliśmy na prędce nosze i położyliśmy na nich rosomaka. Wzięliśmy również skaleczonego psa i nieśliśmy go na przemiany.

Zapadł już wieczór, gdyśmy stanęli przed chatą Sjula Lenty. Nastąpiła teraz uczta tryumfalna; dostaliśmy znowu tłustego mięsa reniego i gorącej kawy, ze solą zamiast cukru — jak się tu kawę pija — z domieszką śmietanki reniferowej.

Po uczcie zapaliliśmy znowu fajeczki, a odpoczynek w cieple, po wytężającym biegu na sleterach, tak nam był pożądanym i miłym, żeśmy z niechęcią myśleli o tem, iż nam wypadnie jeszcze biedz z godzinę do domu, na drugi brzeg Storawanu.

— Myśliwcze! — zawołał Sjul, zwracając się ku mnie — Ty masz szczęście! Najbliższym razem, jeśli tylko wykryjemy wilcze tropy albo ślad rosomaka około stad naszych, to zaraz poszlemy po ciebie.

- Dobrze, Sjulu — rzekłem — lepiej jest zapobiegać biedzie, niż dać się jej chytrze napaść. Na pierwszy znak od ciebie, przybędziemy.

— Słowa to słowa, ale co ręka, to ręka. Uderz w dłoń! — zawołał Lapończyk, wyciągając ku mnie swą szeroką, spracowaną rękę. Uderzyłem w nią z całego serca, przypieczętowując w ten sposób dane przyrzeczenie.

A wypitym już był ostatni kubek kawy. Pożegnaliśmy się tedy najserdeczniej i opuściliśmy chatę Sjula Lenty.

Gwiazdy iskrzyły się na ciemnem, granatowem niebie, a drżące ich światło łamało się jeszcze w drobniutkich kryształkach lodu w powietrzu. Na północy zapalał się łuk zorzy północnej, jak gdyby most potężny, rzucony między lodowcami. Lecz nagle łuk ten wyprostował się w snopy żywo promieniejącego światła, tworząc królewski iście dyadem na czołach dzikich gór skandynawskich. Snopy te wydłużają się coraz bardziej, strzelają ostrymi szpicami jak bagnety linii frontowej, gdy nadchodzi chwila ataku..

I znowu dalsza zmiana przecudowna. Zniknęły snopy i bagnety, a wznoszą się powiewne sztandary, mienią się wszystkimi barwami tęczy, wzlatują ku zenitowi, nikną i znowu się tworzą, przetykane drżącem światłem, wybuchające błyskawicami i wyrzucające z siebie całe wiązki rakiet.

Na tle tem fantastycznem rysują się silnie kontury świerkowych puszcz, a dziwaczne skaliska w białych płaszczach występują z głębi tajemniczo. Pod nogami zaś błyszczy powłoka śnieżna, pojedyńcze kryształki iskrzą się jak brylanty — i wszędzie cisza, powaga, groza nocy w pełnym majestacie zimy północnej.

NIEDŹWIEDŹ.

Napisał Władysław Spausta.

III.

Piastuny.—Wędrówki.—Drapieżność i rola niedźwiedzia wobec innych zwierzostanów.—Rozmaitość usposobienia, stąd tragi-komiczny charakter.—Gawry.

W dawnych lat skarbnicy, w gwarze łowieckiej znajdujemy odrębną nazwę dla młodych niedźwiedzi, nazwę, która w naszych czasach w bardzo niewłaściwych używaną jest granicach. Od przyjścia na świat aż do wyemancypowania się płodów z pod opieki matki, nazywają „piastunami" nasi autorowie młodziutkie maruszęta. A przecież conajmniej zasługuje nieudolna młodzież na taką nazwę — bo w istocie nie jest piastunem lecz raczej piastuna wymaga. To też niezawodnie gwara starożytna, zrozumiawszy prawdę natury, w sposób bardzo trafny określiła tą nazwą starsze już o rok niedźwiadki, którym troskliwość matki oddała chwilową opiekę nad niedołężnym płodem.

W tem samem znaczeniu istnieje nazwa „piestun“ w języku rosyjskim. Piestunami są tam niedźwiedzie 1 — 2 letnie, które według ogólnego mniemania rosyjskich myśliwych matka po nowych złogach chwilowo odpędza i na samoistny wyprawia żywot. Rzecz ta jest wielce prawdopodobną, bo niedźwiadki w tym wieku posiadają już wszelkie warunki do życia samoistnego — ale pod pewnym względem łączność familijna trwa dalej i wyprawione z pod opieki macierzyńskiej zwierzęta nie oddalają się zbyt daleko z rejonu rodzinnego, a nawet łączą się z młodszem pokoleniem w stadka. Są to dość zwykłe objawy w życiu niedźwiedzi według zdania rosyjskich niedźwiedników, którzy podobno obecnie do najlepszych znawców należą.

W chwili niebezpieczeństwa niedźwiedzica stara w obronie całej rodziny staje do upartej walki, a starsze pokolenie wykonuje misyę, która mu bardzo stosowną nazwę piastunów nadaje: unosząc młodsze niedźwiedzięta w bezpieczne miejsce. Gdy matka od płodu się oddala, zwabiony piastun ma go strzedz od wszelkiego niebezpieczeństwa aż do czasu, gdy w uciążliwej tej służbie zastąpi go inny niedźwiadek.

Twierdzenia te rosyjskich myśliwych sprawdził naocznie podróżnik Eversman, a z relacyi jego wnosić można, że niedźwiedzica częstokroć w sposób przymusowy znagla niedźwiadki do niemiłej im roli bawienia i strzeżenia dzieci. Wszystko to da się skonstatować jedynie w krajach, gdzie jest jeszcze bardzo wiele niedźwiedzi i niezawodnie termin naszej starej gwary łowieckiej pochodzi jeszcze z tych czasów, kiedy dawnym łowcom nadawała się często sposobność spostrzeżeń, które dały początek nazwie zgodnej z prawdą przyrodniczą.

Zrzedły lub zatraciły się mateczniki niedźwiedzi, nawet w ostatnich kudłaczy siedliskach na naszej ziemi skąpe tylko doświadczenia można zebrać co do ich życia i zwyczajów, ale pozostała stara nazwa w ustach myśliwych, niby łącznik między dawnymi i młodszymi laty.

* * *

Ważną dla praktyki myśliwskiej rzeczą są wędrówki niedźwiedzi, powtarzające się dwa razy w roku na dalszą lub bliższą metę, stosownie do warunków, w jakich się zwierz obraca. Pociąg do wędrówek tkwi głęboko w naturze niedźwiedzi, a jeżeli w naszych czasach nie okazuje się w sposób tak jaskrawy, jak to niegdyś być musiało, to przyczyną ku temu jest bardzo zmieniony stan rzeczy w siedliskach zwierza — przerwanie wielkich kompleksów leśnych. gęstsze osiedlenie kraju i t. d. W ogólności niezbyt pocieszny widok odsłania się kudłaczowi, gdy w zamiarze wędrówki spojrzy z gąszczy swego ostatniego przybytku w daleką perspektywę, pełną zdradliwych zasadzek i nieznośnego zgiełku. Łzawi się ślepie i żal ściska serce niedźwiedzie za utraconym rajem — a gdy naprzód prze potężna natury sprężyna, rozważa mysia mózgownica straszną teraźniejszość. Zewsząd od szlaków, po których bezpiecznie telepały się w dalekie strony szczęśliwszych przodków pokolenia. dochodzą jakieś nieznane dźwięki; turkot, świst, szum i nienawistny zgrzyt żelaza głuszą do reszty jedynie zrozumiały dla mieszkańca pierwotnej puszczy Volapük natury. To też nie swojsko jakoś mysiowi, gdy uległszy wreszcie popędowi, opuści na jakiś czas rodzinne ustronia. Jakby nie na swojem śmieciu, poskramia wówczas swe drapieżne skłonności i nie znaczy w sposób na zbyt dokuczliwy swej obecności. pędząc przeważnie żywot wegetaryanina.

Z gór karpackich w porze jesiennej schodzą niedźwiedzie na doły, gospodarują jakiś czas w „czaharach“ i żywią się prawie wyłącznie jagodami leśnemi, (w 1881 ubito w Bortnikach w Tłumackiem niedźwiedzia). Niedźwiedzie z gubernii Mińskiej i z dalszej połowy wędrują wiosną aż do brzegów Prypeci w Pińskie i powracają na zimę znów na północ w lasy Berezyńskie, Borysowskie, Ihumeńskie. Wędrówka ta wynosi 200—300 klm. Jest rzeczą prawdopodobną, że niedźwiedzie gubernii Mińskiej posuwają się czasem jeszcze dalej na północ na leże zimowe, a lasy nad Berezyną obierają jako miejsce jesiennych dłuższych popasów. Spotkać tu można o tej porze w pewnych ostępach po kilkanaście niedźwiedzi, a łowy o tym czasie stanowią bardzo wyjątkową kartę myśliwstwa na ziemiach europejskich. To już nie ściganie jednego upatrzonego i dawno śledzonego zwierza, ale na chybił trafił, łowy na wielką miarę, w których do niedawna ginęło po 100 niedźwiedzi! W samej Uszy nad Berezyną było sztuk 18, z których 12 ubito, w dobrach Radziwiłłowskich zabijano podówczas 20—30, tyleż w dobrach Berezyńskich M. Hr. Potockiego i w lasach Hr. Michała i Konstantego Tyszkiewiczów. (A. Barthels. O niedźwiedziach na Litwie).

Nie posiadamy wprawdzie dokładnej statystyki ubijanych w tych stronach niedźwiedzi, ale podania wiarygodnych myśliwych i naocznych świadków, dają niejakie wyobrażenie o tych wyjątkowych kniejach niedźwiedzich na ziemiach naszych, do których i w chwili obecnej dążą nasi Nimrodzi, a dążą jak ów Poleszak po dwuletnej podróży po Europie z tęsknotą i słowem na ustach: „Nihdzie lepsz jak u Radziwiłłowiczach“.

Przelotne to jednak chwile — bo i w tych komeszach, izolowanych do niedawna od reszty świata, policzone są dni kudłaczy, i z każdym rokiem ulepszone środki i dokładniejsze poznanie natury zwierza, skoncentrowanego w pewnych siedliskach, coraz większe czynią wyłomy. Niedługo — a zabraknie i nad Berezyną niedźwiedzia. Oby choć pozostała wdzięczna pamięć i miłość dla tej ziemi, co niegdyś kryła takie skarby dla myśliwskiej duszy — oby z gruzów dzikiej niedźwiedziej rapsodyi wyłoniła się przyszłość błogosławieństw pełna, i miliony powtarzały: „Nihdzie lepsz, jak na tej ukochanej ojców spuściźnie“.

Powodem wędrówek niedźwiedzia są niezawodnie dwie sprężyny, poruszające całym światem organicznym — uczucie głodu i dobór płciowy. Zgodnie z tem mniemaniem niedźwiedzie, u których z wiekiem wyrobił się okrutny duch rozbójniczy, a zbladły już uroki erotyczne, zazwyczaj dalekich wędrówek nie odbywają. *Tempi passati* w każdym kierunku. Są to poufali rabusie miejscowi, znaczący w straszny sposób swą bytność w jakiejś okolicy, potwory siły i okrucieństwa, na które wybierając się Litwin gotował sobie łoże a mieszkaniec gór karpackich, trzymając się starego przysłowia: „Medwedja ne wbyty, póki kris ne pośwityty“, dawał poświęcać kule na ołtarzu w cerkwi. Na wystawie etnograficznej w Kołomyi oglądaliśmy rusznicę Wołczuka z Hryniawy, z której tenże poświęcanem ołowiem 30 powalić miał niedźwiedzi. A ileż tam jeszcze innych pogromców niedźwiedzi wychowało pasmo Czarnohorskie? Dawniejsi żyją uspieni niby bohaterowie swego szczepu, a o współczesnym Tomku z Żabiego, Iwanie Paluku z Dory i o wielu innych pójdzie pamięć na późne pokolenia, któremu ją przypomni ślepy dziad nucąc przy lirze pieśni o ludziach, co się kiedyś „łowyły z medwedem“, jak w puszczach Ostrołęckich długo jeszcze będą śpiewać o zuchu na Kurpiach:

Bo to chłopiec krzepki,
Znają ci go lasy.
Chodził on w załebki
Z niedźwiedziem w zapasy.

Podczas gdy stare niedźwiedzie, założywszy stałą siedzibę w jakiejś okolicy, całym seregiem popełnianych zbrodni stają się postrachem pasterzy, a nader szkodliwym czynnikiem dla zwierzostanów, nieda się zbyt wiele powiedzieć o szkodliwości niedźwiedzi przechodzących. Stąd też rozmaite są pojęcia co do tego zwierza, i obracają się w bardzo szerokich granicach. Barankiem jednak z pewnością nie jest żaden na świecie marucha, a jeżeli się częstokroć wydaje wzorem niewinności, to chyba dlatego, że pod pokrywką całego szeregu niby to dobrych dla człowieka uczynków, tai swą drapieżną naturę i podnosi w oczach wielu reputacyę rodu, którą tak haniebnie psuje stary miejscowy marucha. Raul Dąbrowski przedstawia niedźwiedzia jakoby *„dem Nutzwildstande gänzlich ungefährlich"* (*das Jagdrevier 1890 str. 112*), podczas gdy inni myśliwi wcale się z tem zgodzić nie mogą, nie mówiąc już nic o roli niedźwiedzia dla gospodarstwa skotniczego. Po tej stronie i mnie stanąć wypada, gdyż niegdyś naocznie miałem sposobność przekonać się o znaczeniu niedźwiedzi dla zwierzostanów górskich w górach Bukowiny i Siedmiogrodu. To wszystko wryło się głęboko w pamięci i nie usposabia do zbytnich zachwytów nad niewinną rolą niedźwiedzi wśród zwierzostanów. A nie mniej może usposobić do czegoś podobnego opis trybu życia „Meszki" litewskiego, jaki podaje Krementz, śledząc go na każdym kroku i odgadując z prawdziwie myśliwską finezyą ze wskazówek nieznacznych na tropie treść zbrodniczego żywota.

Zwierz, który żre wszystko, bada i podpatruje każdą kłodę, każdy kamyk, zbiera po drodze jagody, udrapie nieco mchu, wyżre poczwarki kózek z pod kory powału — może w istocie zamarkować treść swego życia tym szeregiem niewinnych czynności — ale oko prawdziwego badacza artysty odkrywa pośród tego niestety mnóstwo grzeszków, lub co najmniej grzesznych zamiarów. Grzebiąc swym dość niezgrabnie wyglądającym plackiem (łapą) w pokrywie mchów za jakimś ukrytym tam przysmakiem, raptem porzuca myś tę robotę, bo doszedł go jakiś miły wiatr, raptownym susem rzuca się z miejsca — a widać to na zbitej rosie — i pędzi z szybkością, o którąby go nikt nie posądził, po świeżych wytłokach łosi. Ale wśród tej pogoni wonie rozmaitych aromatów dolatują nosa, tuż przy łosim szlaku siedzi w gęstwinie jarząbek. I to dobre po drodze. Ptak się wymknął, ale dowody szczerych zamiarów mysia pozostały — kilka piórek wydartych widnieje na ziemi. Po tej gonitwie próbuje się wdrapać do barci w dziuple dębu, ale porzuca tę robotę — bo od strony niedalekiego wrzosowiska doszło uszu kwoknięcie zrywającego się młodego cietrzewia — zapewne siedzi tam całe stadko — ptaki teraz twardo dosiadują, warto szczęścia spróbować — to też przegania się kudłacz po wrzosowisku, dybiąc za smacznym kąskiem.

Największym postrachem mysia są dobre psy. Nienawistną jest mu już sama gra psów, a przed złają, gdy tylko może, umyka z szybkością, o którą by nikt nie posądził tę niezgrabną figurę. Kto to widział, ten może uwierzy, że ta sama szybkość w połączeniu z wytrwałością, użyta w innym celu, nie mogą sprawić wiele przyjemności płochym zwierzostanom. Gdzie go zawodzi wytrwała pogoń, bierze się na sposoby — używa rozmaitych fortelów, zasadzki, straszy rykiem, ba, nawet — jeżeli to nie należy do szeregu bajek — ma polować z mikotem, udając łosi rżenie w porze bukowania; przynajmniej wierzą w to myśliwi, a nie wątpi o tem i Krementz.

Niejeden stary niedźwiedzisko, rozwaliwszy pod wiosnę swą budę, po krótkiej solwującej kuracyi, strasznym jest trapiony apetytem. Podejmuje wtenczas rozbójnicze wyprawy aż do sadyb ludzkich, dobywa się zuchwale do obór, zabija i wywleka bydło, łoszęta, przyczem częstokroć składa dowody nietylko olbrzymiej siły, ale i wielkiej gimnastycznej zdolności. Gdy trzody już zagnano w połoniny, znów „toj stryjko" „wujko" „staryj" — jak go zwią bojki i huculi nie wymawiając jego właściwej nazwy — jest postrachem dobytku. Ani chwili nie można być bezpiecznym przed napadem brutalnego siłacza — korzysta on z byle jakiej sposobności, posuwa się pod stado gęstwiną, to znów zjawia się jak demon gnany wichrem, wynurza się z gęstej mgły, lub wreszcie pod osłoną nocy podłazi aż do szałasu — wśród ryku i zamieszania, zanim ludzie się opatrzą, pomyka już z porwaną ofiarą — i ginie w ciemności, telepiąc po grechotach (zboczach szutrowych), usuwa kamyki i sprawia łomot, znaczący wśród głuchej nocy kierunek pochodu.

L'appetit vient en mangeant — to też takie niedźwiedzie, znęciwszy się raz ku tak łatwej stosunkowo zdobyczy, nieobliczone mogłyby wyrządzić szkody w skotnictwie; ale przebiera się wnet miarka, rabuś staje się coraz to zuchwalszym i w zaślepieniu drapieżnem wpada w zdradliwą pułapkę, albo dosięga go morderczy cios broni.

Obok tych ogromnych, demonicznej siły postaci, przejmujących zgrozą i budzących pewien rodzaj szacunku, urastającego aż w kult niedźwiedzi u pewnych plemion myśliwskich i skotniczych, pojawiają się znów niedźwiedzie całkiem innego usposobienia i temperamentu. Stąd też pochodzi tragi-komiczny charakter niedźwiedzich dziejów.

Indyanie północnej Ameryki błagalnemi słowy przepraszają ubitego niedźwiedzia za wyrządzoną mu krzywdę i zjadają jego serce dla pozyskania odwagi — myśliwi norwegscy piją jego posokę niezawodnie w tym samym celu — poświęconą kulą strzela do niego Hucuł niby do jakiegoś przejawu złej siły — lecz w ten ogromny szereg wyobrażeń groźnej barwy mieszają się i niezliczone epizody pociesznej treści, wystawiające mysia w nader komicznem oświetleniu.

Stara nasza powieść łowiecka, biorąca zapewne początek z jakiegoś wyjątkowego zdarzenia, prawi o porwaniu przez niedźwiedzia nadobnej córki jakiegoś szlachcica, której jednak kudłacz żadnej krzywdy nie wyrządza — owszem, okazuje jej szczególne względy i zasypuje dowodami galanteryi — znosi jagody — owoce — wyplata jej piękne koszyczki i t. d.

Gdzieindziej przeraża dziewczynę zbierającą jagody, wychyliwszy się raptem z gęstwi, odbiera jej uzbierane owoce, to znów rzuca grudkami na chroniące się przed nim na drzewo dzieci — płata rozmaite figle — niestety częstokroć niewinne tylko w pojęciu niedźwiedziej mózgownicy.

U narodów, gdzie już tylko tradycye po niedźwiedziu pozostały, żyje on podobnie w bajce, jak na dalekim Wschodzie, gdzie się jeszcze zalicza do bardzo pospolitych zjawisk puszczy, a żyje jako typ otwartego brutala — ustępującego zawsze człowiekowi z drogi po wypłataniu jakiegoś nieudatnego figla, lub jako wzór prastarej dobroduszności i niezgrabny komik, to znów jako symbol upartej siły i pewności. W tem samem oświetleniu przekazała nam również starożytność postać niedźwiedzia *(Aelian de nat. anim. lib. II. cap. II.)*

W ludowej poezyi i bajce niektórych naszych dzielnic częstokroć niedźwiedź główną ma powierzoną rolę, a odrzuciwszy grubą przędzę fantazyi, możemy odcyfrować tam znaczną ilość rysów charakterystycznych zwierza, za którymi napróżnobyśmy szukali po księgach uczonych. W szczególności Żmudź święta, nosząca niedźwiedzia w swej herbowej tarczy, utrzymawszy go najdłużej w kniejach Kur-

towańskich nad Dubissą i Niewiężą, zachwyca się kudłaczem swych rodzinnych kniei, a żmudzki poeta Szymon Staniewicz najzrozumialej przemawia do serca narodu, wprowadzając na scenę swych powiastek konia i niedźwiedzia — *„Arklis ejr meszka“*.

* * *

Przejrzawszy bodaj pobieżnie skarbnicę powieści i bajek ludowych, na których dnie ukrywa się zawsze jakaś szczypta przyrodniczej prawdy, przychodzimy łatwo do przekonania, że pewne temperamenty i usposobienia niedźwiedzi nie są bynajmniej cechą jakichś odrębnych okolic lub krain; przeciwnie, postać ta występuje w jednej i tej samej okolicy w nazbyt proteuszowym charakterze i dowodzi wyraźnie, że usposobienie niedźwiedzi zależy od wieku zwierzęcia, niemniej od chwilowych stosunków życiowych — a nie jest bynajmniej cechą pewnych odmian lub ras miejscowych. To też wszędzie i zawsze niedźwiedź stary, wyruszony z gawry, lub niedźwiedzica w obronie swych dzieci stać się mogą nazbyt groźnymi dla myśliwego, podejmując rozpaczliwą walkę, i w chwili takiej łowy niedźwiedzie przedstawiają częstokroć bardzo tragiczną kartę. W położeniu bez wyjścia zwierz rozjuszony ostatnim wysiłkiem ściga w raptownym ruchu swego prześladowcę, zadając mu z boku potężną łapą uderzenia, bardzo rzadko używa w walce kęsów, a jeszcze rzadziej wznosi się na dwu łapach czyli „stawia drabinę“, by ująć i zdusić („pieścić“) w ten sposób swą ofiarę. Tymczasem jednak stawanie na dwóch łapach niedźwiedzi jest od dawien dawna stałym i bardzo banalnym epizodem opowieści o łowach niedźwiedzi u wszystkich narodów, przyczem zazwyczaj jeszcze zwierz, stając do walki, zamiata (bije, tupa) i wichrzy (miotając kamienie i drzewa). Ale to nie dziwota; zwycięzki wódz zbrojnych milionów panegiryk swych czynów stroi chwalbą waleczności pokonanego wroga, a myśliwy? — jak może i umie przesadza istotę rzeczy, podnosząc tem samem aureolę zwycięztwa. Stąd też nietylko o niedźwiedziach strasznych kursują przesadne podania, a powtarzając się stereotypowo, podtrzymują wiarę w kołach szerokich.

O niedźwiedziach pomykających niby zając po trafnych strzałach — a takich jest najwięcej — niema co i wspominać — natomiast najmniejszy pozór agresyi ze strony zwierza urasta w olbrzymie rozmiary już pod lupą przestrachu a zwiększa się jeszcze bardziej, gdy następstwo innych wrażeń zatrze rzeczywistość i do znaczenia strasznych faktów podniesie pozory.

* * *

Żarłoczność, łakomstwo i pewien stopień ciekawości, objawiające się w każdym ruchu niedźwiedzi w wolnej naturze, są podobno cechami rodu i od najdawniejszych czasów wyzyskiwane były przez myśliwych. Częstokroć z narażeniem życia podpatruje myś każdy krok człowieka wkraczającego w jego dziedzinę, nie zaczepia go nigdy, a co najwięcej w razie spotkania objawia mu niezadowolenie urywanym basowym murkotem. W ten sam sposób zachowuje się wobec każdego przedmiotu, na którym zatrzyma się jego ciekawość. Telepiąc swym zwykłym szlakiem, co niezmiernie ułatwia łowy na zasiadce — w miejscach, skąd się dalszy otwiera widok, przypada częstokroć na zadzie, wyciąga głowę w górę, przegląda uważnie całe otoczenie, strzyże uszyma, fiksuje wzrokiem każdy przedmiot podejrzany — nareszcie uchodzi, zwracając głowę w kierunku tegoż i długo oczu z niego nie spuszcza. Innym razem, nie dowierzając zapewne swym oczom, które myśliwi i przyrodnicy bardzo lekceważą w porównaniu do innych zmysłów, zbliża się do ciekawego przedmiotu, i wtenczas staje się albo aktorem bardzo pociesznych i niespodziewanych zdarzeń, albo wpada w zgubną dla siebie zasadzkę.

Nie chcąc wywoływać przykrych wrażeń opowieścią wypadków, gdzie myś, wstąpiwszy na pierwszy do piekła stopień, stał się ofiarą swej niepohamowanej ciekawości — odwracam tylko pogodną stronę medalu, przytaczając niektóre wiarygodne (!) podania.

W Siedmiogrodzkich górach jakiś stary kłusownik łowi paszkoty na lep i co wieczór w improwizowanej budce zajmuje się oczyszczaniem i duduszaniem swej zdobyczy, przyczem niebrak pisku męczonego ptactwa. Myś, rozciekawiony co się tam w budzie dzieje, podchodzi i obszedłszy budę w około zagląda otworem do wnętrza, wreszcie najspokojniej się wynosi, pozostawiając po drodze dowody, że mu się wcale nie spieszyło.

Towarzystwo kuracyuszów w uroczej miejscowości Madonna di Campiglio w górnych Włoszech urządza wycieczkę do pobliskiego Valeinelli, gdzie się dowiaduje o pojawieniu się ogromnego niedźwiedzia w najbliższych górach. Z zapałem, na jaki tylko gromadka letników zdobyć się może, czynią nadludzkie wysilenia, aby zobaczyć kudłacza, wszystko jednak nadaremne; niedźwiedź się nie pokazuje. Zniechęcenie i niesmak doznanego zawodu podaje więc myśl jakiej takiej kompenzaty — oto na szczęście zjawia się fotograf, całe towarzystwo pozuje w prześlicznej grupie na tle górskiego lasu — ale, o dziwo! wnet się pokazuje, że nie 10 postaci, z których się składała gromadka, lecz 11 uwiecznił promień światła na płycie, bo jedenastą była pokaźna nawet w perspektywicznej oddali figura mysia, który od krawędzi lasu przypatrywał się obcej mu operacyi. Za prawde ręczyc nie mogę...

* * *

Podczas gdy schroniska, czy mieszkania innych zwierząt, po największej części zbudowane według jednolitego planu zasadniczego, począwszy od misternie wykonanych budowli bobra a skończywszy na pojedynczo urządzonych norach wielu naszych zwierząt krajowych, nie da się to samo powiedzieć o urządzeniu tych zimowych azylów, w których niedźwiedzie kilkomiesięcznego zażywają spoczynku. O tych gawrach, legowiskach, łochwach, budowiskach lub łomach a wreszcie barłogach, jak je zwie lokalnie nasza gwara łowiecka, może ten tylko powziąć wyobrażenie, kto je na własne oglądał oczy; modele lub przedstawienia graficzne, jakie tu i ówdzie spotykamy po dziełach specyalnych lub po muzeach przyrodniczych, lub jakie oglądaliśmy na ostatniej naszej wystawie w pawilonie ministerstwa rolnictwa, mogą utwalić błędne przekonanie, jakoby urządzenie, jakie tam oglądamy, było stałą cechą i powszechnym niedźwiedzi zwyczajem. Tymczasem marucha nasz li tylko w pewnej miejscowości, korzystając z otoczenia najbliższego, urządza sobie schroniska według jednego typu; chodzi mu o wygodę głównie, a nie o zachowanie systemu, stąd też wobec takiej różnorodności schronisk w rozmaitych okolicach, powstały i rozmaite lokalne nazwy, malujące charakter tychże.

Częstokroć zwierz wyzyskuje dla swych celów gotowe warunki przyrodnicze, układa się w dziuple drzew, w skalnej pieczarze, w gęstwi młodniku, oczeretów — to znów rozszerza i akomoduje do swego użytku nory i zagłębienia, jakie w najbliższem otoczeniu spotyka. Gdzie podostatkiem łomów i gałęzi, obiera czasem wśród labiryntu powałów i ster-

-czących korzeni swe legowisko, w innych znów razach znosi mnóstwo drzewa, gałęzi i w jakimś nieznacznym wąwoziku prawdziwie niedźwiedzią wyprowadza architekturę, o czem pouczyć mógł model we wzmiankowanym pawilonie wystawy, sporządzony według gawry, spotkanej w lesie „Preługmy“ w państwie Kałuskim.

Wprawdzie bardzo to się rzadko zdarza, ale należy już za dni naszych do rzeczy sprawdzonych, że nie wystarczą zawsze niedźwiedziowi warunki, jakie na ziemi spotyka do urządzenia gawry i z niezbadanych przyczyn dąży nieco wyżej, włazi na drzewo i tam się do zimowego układa spoczynku. Wyjątkowy ten zwyczaj kapryśnego sybaryty znany był dawnym myśliwym naszym, lecz poważna nauka, skrupulizując się z podaniem nieprawdopodobnem, wyjątkowo w tym kierunku lekceważyła podania myśliwych i tylko u naszych starszych autorów nieprzyrodników znajdujemy wzmianki o „mieszkaniach niedźwiedzi na drzewie“. „Chwytane bywają starsze niedźwiedzie w bliskości mieszkania zwierza, założonego na drzewie“ i t. d. pisze autor krótkiego o polskich niedźwiedziach artykułu („Przyjaciel ludu“. Leszno. Nr. 34 str. 268 rok 1836).

Może po raz pierwszy sprawdzono w istocie gawrę niedźwiedzią na drzewie dopiero w roku 1888. Naoczny świadek, książę Wilhelm Radziwiłł, podał widziany fakt do wiadomości przyrodników i odtąd nie wątpią już o tem najpoważniejsi autorowie, mianujące to jednak zawsze „*ein merkwürdiger Fall*“. Było to w gubernii Mińskiej w powiecie Bobrujskim, w Urzeczu. Niedźwiedź pięcioletni zakwaterował się 32 stóp nad ziemią w gałęziach świerka. Świerk ten, niegdyś wiatrem uszkodzony, utworzył 4 pędy boczne, w których, dołożywszy nieco łomu i urządziwszy sobie wygodne legowisko, spoczywał niedźwiedź, i w tym stanie przydybany został przez myśliwych.

Odnalezienie gawry niedźwiedzej do bardzo trudnych należy zadań, wziąwszy na uwagę wielkie obszary kniei, w których zazwyczaj zalega. Sprytne psy, lub gęsto rozpuszczona obława mogą tu doprowadzić do celu, bo śledzenie tylko w wyjątkowych razach jest możliwe. Zwierz, dążąc do swego legowiska, używa pory, w której ślad wszelki za nim się zaciera, albo znów myli tropy, skacze w bok, krzyżuje, tak, iż i rutynowanego myśliwca w pole wyprowadza. Pogmatwanie tropów w tej porze dało myśliwym wiele do myślenia, ba nawet miano widzieć (!) jak niedźwiedź, zbliżając się do gawry, niby rak tyłem postępował. Wprawdzie trudno w coś podobnego uwierzyć, ale już sam ten prawdziwie rozpaczliwy utwor imaginacyi myśliwskiej wskazuje, jak trudno wyznać się w labiryncie tropów niedźwiedzkich o tej porze.

Ale i ta gmatwanina powabnych wytłoków trwa zazwyczaj tylko przelotną chwilę, bo liczne barometryczne depresye o tej porze sprowadzają częste opady. Od Atlantyku zachodnim wiatrem gnane odpary pokrywają ziemię coraz to nowymi warstwami śniegu, i w coraz to głębszej pierzynie znaczy swe przejścia ruchliwy zwierz naszych kniei.

Nasz zakonnik leśny, wspaniały głuszec, połknawszy sporą dozę kamyków u brzegu potoku, zasiadł teraz w swej pustelni z iglic i lodu na gałęziach świerka i nie ruszy się, póki stanie w okół młodych pędów, które wobec improwizowanego uzębienia w żołądku wystarczają mu do podtrzymania anachoretycznego żywota. Pod złomem w ukryciu siedzi smutnie cietrzew; wśród morza białych pokładów, została mu tylko niewielka wysepka — wygląda tam nieco pruchna i mchu i sterczy kilka pręcików jagodowych. Ciernista odkrywa się droga do nieba wiosennego, sine, zimne zalegają w okół cienie, śnieg na gałęziach przydusza je do ziemi, cała matnia tajemniczych kryjówek, bud, krużganków zaciszných ale chłodnych i głodnych schronisk, rozsiadła się bez końca — i tam — gdzieś głęboko w tem morzu tajemnic — utonął i kudłaty król lasów na długo.

KORESPONDENCYE.

Budapeszt w maju 1896.

(Łowiectwo na wystawie węgierskiej.)

Zgiełk i wrzawa wita nas u ujścia ulicy Andrássy'ego przy głównej, z kamiennych obelisków składającej się bramie, prowadzącej na wystawę millenarną w Peszcie. Turnikiety ciągle w ruchu, służba wystawowa w barwnych, srebrem szamerowanych węgierskich mundurach odbiera bilety, życie wre w przyszpieszonem tempie. Wchodzącemu z tej strony wpada najpierw w oczy malowniczo nad jeziorem lasku miejskiego położona grupa historyczna, której środek stanowi okazały, w stylu gotyckim trzymany gmach, wierne naśladownictwo słynnego zamku Vajda-Hunyad, który Jan Hunyady dla swego syna, późniejszego króla Macieja Korwina zbudować kazał.

Po za grupą historyczną wkraczamy w centrum wystawy wśród mnóstwa większych i mniejszych pawilonów, a mijając opodal olbrzymią halę maszyn i pawilon przemysłu, stajemy w końcu przed skromnym w stylu XVI. wieku z drzewa wzniesionym zamkiem myśliwskim, który poświęcony jest głównie historyi łowiectwa. Wchodząc do tego przybytku Diany, cofnąć się musimy myślą do zamierzchłej przeszłości wieków średnich, bo oto wprost naprzeciw wejścia widzimy wspaniałego niedźwiedzia, wyruszonego świeżo z legowiska, w chwili, gdy rozwarłszy paszczę gniewnem okiem mierzy zuchwalca, który mu śmiał spokój zakłócić. Ów zaś myśliwiec w narodowym stroju węgierskim mierzy doń spokojnie z łuku... Lada chwila poszle mysiowi w komorę grot o ostrem widełkowato rozdzielonem ostrzu...

Na prawo od wejścia druga grupa przedstawia dwa dziki, które w moczarowatym, dobrze podszytym ostępie atakuje burej maści ogar. Na przodzie ładny wycinek szarżuje na łowca stojącego z nastawionym oszczepem. W tyle za wycinkiem lękliwsza samura pryska w bok. Po lewej stronie hali wchodowej widzimy scenę myśliwską z późniejszych już czasów: w skalistym parowie leży powalony celnym strzałem jeleń ćsmak, tuż za nim podąża i już do leżącego dochodzi zgraja gończaków. Opodal myśliwiec trzyma w lewej ręce świeżo wypaloną rusznicę skałkową, prawą

zaś ręką przytknął do ust długi róg myśliwski, aby zatrąbić na trupa.

Stąd przechodzi się do drugiego, dla nas mniej interesującego działu, w którym mieszczą się zbiory starodawnych przyrządów, toporów, oszczepów i innego rodzaju broni używanej przez pasterzy. Dział ten ma wielką wartość muzealną i zawiera wiele cennych zabytków z życia pasterskiego prastarych Magyarów.

Wstępując na schody, prowadzące na piętro spostrzegamy głowę żubra niewiadomego pochodzenia, własność ks. Pawła Eszterhazego, obok dwa sępy. Na piętrze w środkowej hali umieszczoną jest piękna grupa wilków, z których jeden złakomiwszy się na przynętę padł ofiarą podstępu myśliwego i złapał się w żelazo. Drugi piękny basior obok żałośnem wyciem opłakiwać się zdaje stratę towarzysza. Po prawej stronie sokolnictwo ma swoich przedstawicieli: na pięknym rumaku nadjeżdża dama w bogatym stroju z sokołem na ręku, obok młody sokolnik odbiera ze szponów drugiego sokoła wspaniały łup, śnieżno białą czaplę.

Przy drugiej ścianie widzimy jeszcze jedną grupę uplastyczniającą polowanie z chartami. Charty doszły właśnie szaraka; myśliwy dopadłszy, aby odebrać świeżą zdobycz, osadza konia na miejscu; u siodła widzimy przytroczonego już lisa i zająca. Te grupy plastyczne stanowią najciekawszą część zamku myśliwskiego, a obok piękne zbiory starej broni palnej, składające się głównie z okazów dostarczonych przez wiek XVII. i XVIII. Zbiory te stanowią własność hr. Józefa Batthyany'ego i księcia Eszterhazego. Nadto mamy tu kilka przedstawionych plastycznie sposobów łowienia ptactwa na sidełka i samołówki, między innymi stadko kuropatw, z których kilka już się złapało na kluczki, dalej zając złapany na drut, wydra w żelazie. Parostków sarnich tu prawie nie ma, a te co są, żadnej nie przedstawiają wartości; jest natomiast dużo wieńców jelenich, między którymi jednak żadnych piękniejszych okazów i żadnych myłkusów nie znalazłem. Wszystko stare, wiele rogów osadzonych bez czaszki na niekształtnych, sztucznych głowach. Wszystko to przeniesione ze starych komnat węgierskich magnatów tchnie starością, wszystko zczerniało pod brzemieniem wieków.

Nowoczesne łowiectwo schroniło się na wystawie węgierskiej do pawilonu leśnictwa, okazałej gotyckiej budowli, której wnętrze zawiera bardzo wiele ciekawych rzeczy dla myśliwego i leśnika. Środek tego pawilonu zajmuje olbrzymia skała, składająca się z brył kamiennych ustawionych i zespolonych z prawdziwie artystycznym smakiem w jedną całość, wyobrażającą szczyt górski. Patrząc na tę skałę a raczej górę, ma się złudzenie rzeczywistości i mimowoli nasuwa się myśl, że to nie sztucznie ręką ludzką ustawione, lecz że mamy przed sobą jakiś jednem cięciem olbrzyma od grzbietu odłączony szczyt karpacki...

Umiejętną ręką zebrano i umieszczono tutaj wspaniałe okazy fauny górskiej, nie zapominając i o florze: jest tu i jałowiec i kosodrzewina i borówki, a u szczytu porost islandzki. Ze skały wypływa i w dół po kamieniach sączy się rzeczywisty i mile szemrzący potoczek. Ze znawstwem tajników przyrody zdołano tu u podnóża skały i w jej licznych załomach odtworzyć kilka epizodów z tajemniczego życia dzikich gór mieszkańców i uzmysłowić niektóre z owych grozą przejmujących dramatów, których wiele co dzień niemal rozgrywa się w skalistych dobrach górskich. Z jednej strony widzimy walkę dwu jeleni, oba równej siły czternastaki; wieńce ich silnie ze sobą splecione, jak gdyby nigdy już rozłączyć się nie miały... Dalsza grupa przedstawia dwa wilki w pogoni za kozłem — opodal ogar atakuje silnie postrzelonego odyńca — a tuż obok mały, krwiożerczy tumak dokonuje mordu, bo wpił się swym pyszczkiem w kark pięknego rogacza. Wyżej na skale widzimy tokującego głuszca, parę jarząbków, kuropatwy kamionki, a jeszcze wyżej kozice, świstaki i orła przedniego. Najciekawsze w tym pawilonie są bezsprzecznie piękne wieńce jelenie, których mnóstwo po ścianach rozrzucono. Niektóre imponują ilością rozgałęzień; dwadziestaków aż do trzydziestaków i wyżej spotyka się niezliczoną ilość, inne znów stanowią piękne okazy myłkusów jelenich, n. p. nieregularny 20-tak Adolfa Moldzika, 18-tak ks. Eszterhazego, wreszcie kolekcye Józefa Hoyosa, Festetits'a i innych. Natomiast parostków sarnich nie ma tu tyle, ani też tak pięknych jak te, które oglądaliśmy w pawilonie łowieckim na wystawie lwowskiej. Najpiękniejszy stosunkowo zbiór myłkusów sarnich wystawił hr. Almásy, rogi kozic Orlovszky, a piękną kolekcyę szabel dziczych hr. Franciszek Nádasdy. Oprócz tego godnym widzenia jest prześliczny, zupełnie czarny lis, ubity przez Arcyksięcia Józefa, żbik czarny będący własnością Gezy Andraszego, w końcu model bażantarni Karola Eszterhazego.

W innych pawilonach rozrzucono tu i ówdzie niektóre okazy z zakresu łowiectwa. W pawilonie rolnictwa zbiór ptaków drapieżnych z Tatr węgierskich, parostki sarnie i wieńce jelenie, będące własnością Franciszka Erdödy'ego, hr. Choteka i innych. W pawilonie Kroacyi i Slawonii dwie ładne grupy przedstawiają familię lisią i borsuczą tudzież ich jamy. W pawilonie Arcyksięcia Józefa pomieszczono trofea myśliwskie właściciela a w szczególności kolekcyę parostków sarnich, między którymi kilka wcale pokaźnych myłkusów, obok wachlarze z ubitych głuszców. Rozgałęzieniem kończyn najbardziej imponuje 18-tak ks. Croya, pomieszczony w środku pawilonu Arcyksięcia Ferdynanda. W pawilonie księcia Filipa Koburga pyszny 22-tak ubity w Karpatach w roku 1830, pod nim piękny okaz perukowego ukształtowania parostków (Perückenbock) i okazy dropi.

Na końcu wspomnieć jeszcze muszę o pawilonie kroackiego leśnictwa, w którym znalazłem największy na wystawie okaz wypchanego w całości odyńca, głowę kozła perukowego i nadzwyczaj fenomenalny myłkus sarni, własność p. Napoleona Kralja z Zagrzebia. Dla tych, którzy mają zamiar zwiedzić wystawę pesztońską podaję, że myłkus ten oznaczony jest Nr. 9191 — Dziwi mnie niezmiernie, że znalazłem tylko bardzo szczupłą ilość nowoczesnej broni myśliwskiej na tak ogromnej zresztą wystawie; być może, że nie dopatrzyłem lub pominąłem jakie wyroby rusznikarskie, bądź co bądź jednak broni myśliwskiej bardzo nie wiele wystawiono. Z tej, którą zauważyłem, kilka lankastrówek Kirnera zasługuje na uwagę.

Leopold Łysakowski.

Berlin w czerwcu 1896.

(Łowiectwo i sport wszelki na wystawie berlińskiej.)

Nad brzegiem Sprewy, wśród zieleni parku Treptow, w którym urządzono przemysłową wystawę — zwrócony głównym swym frontem do rzeki — wznosi się potężny pawilon i efektownie zbudowanemi dwoma wieżami strzela w górę po nad wysokość drzew. Jest to pawilon „Rybactwa i Sportu.“ Przed frontem jego roztacza się wygodny taras, gdzie w pobliżu położona restauracya podaje ryby rzeczne, smacznie przyrządzone i po umiarkowanej cenie, a przygrywa kapela wilków morskich (marynarzy) dla podsycenia apetytu.

Z boku, nieruchomy kolos okrętu cesarskiego przez Towarz. półn. Lloyda dekoracyjnie, lecz wiernie podług oryginału zbudowany i wewnątrz wspaniale urządzony, przed nami zaś zwierciadło wody z szeregiem kołyszących się prawdziwych łodzi i barek rybackich, oraz krążącymi parowcami. Piekna panorama brzegu przeciwnego rysuje budynki przedmieścia Rummelsburg i starej wsi rybackiej Stralau. Piękniejszego i odpowiedniejszego sąsiedztwa trudno wymagać.

Lecz nasyciwszy się widokiem, wracajmy do pawilonu. Jestto budynek pomysłu berlińskiego architekty Karola Hoffackera, zajmuje 2000 metrów □ powierzchni i nosi na sobie charakter architektury budynków na Północy stawianych. Przy samych drzwiach witają nas dwie grupy z bronzu „Bierz go!" (myśliwy z jamnikiem) i „Do nogi!" (myśliwy z legawcem), pełne naturalności i bardzo pięknie wykonane. Wchodzimy do grupy „Sport." Krótki przedsionek, który prowadzi do wnętrza, oraz lewą i prawa salę zajęły gustowne i bogate nagrody honorowe za wyścigi konne, żeglarskie i kołowe, portrety sławnych biegunów, odlewy tychże w bronzie, oraz różne puhary, serwisy i inne przybory, artystycznie wykute w srebrże i złocie. Obok plastycznie przedstawionych torów wyścigowych, spotykamy wystawę najświeższej nowości, tj. podków, przymocowywanych nie za pomocą gwoździ, lecz klinów i haczyków, które trzymają podkowę na obwodzie zwierzchnim kopyta. Wystawcą jest akc. Towarz. „Minerwa." Dalej fachowe pisma oraz dzieła o chowie koni, piękna uprząż i różne ochrony końskich nóg przy jazdach z przeszkodami. Następnie bardzo ładne kostiumy do jazdy konnej i do polowania dla pań i panów, oraz liberye dla służby, kilka wypchanych rumaków w pysznej uprzęży z jeźdźcami w siodłach, mnóstwo uprzęży, siodeł itp. rynsztunków. Obok zwraca powszechną uwagę elegancki ekwipaż, zaprzężony w cztery tęgie gniadosze ze stangretem na koźle. Objekt ten odznacza się następującemi zaletami: *primo*, koła posiadają pneumatyczne obręcze gumowe; *secundo*, patentowany wyprzęgacz (to jest, że stangret z kozła jednem pociągnięciem odpowiedniej linewki jest w stanie wyprządz konie od wozu, gdy takowe spłoszywszy się unoszą); *tertio*, przyciśnięciem nogi wprawia się w ruch automatyczny hamulec, który hamuje tylne koła i osadza w miejscu ekwipaż. Ciekawe te przyrządy dadzą się zastosować do każdego ekwipażu, a wystawcą ich jest firma Schmidt Langkut & Co. w Berlinie.

Prócz tego spotykamy ciekawy dwukołowy wehikuł z tęgim wypchanym biegunem, również na obręczach pneumatycznych, do wyścigów kłusem, oraz elegancki wózek, wybity koszem z prętów uplecionym, służący do polowania. (Własność cesarza.) Obok tych przedmiotów zwraca na siebie uwagę wypchany, ślicznych kształtów arab maści siwojabłkowitej. Grupa ta sprawia wrażenie, jakgdyby każdej chwili rumaki wraz z jeźdźcami i ekwipażami, do których je wprzęgnięto, miała na dany znak ruszyć z miejsca. Fryz ściany u góry zdobią znakomicie malowane obrazy, przedstawiające wyścigi i średniowieczna turnieje.

Spotykamy też tutaj wazę, wykonaną w blasze srebrnej według projektu cesarza Wilhelma II, oraz tarcze pomysłu księcia Walii, również w srebrnej i złotej blasze wykute. Książę Walii zdystansował swego koronowanego kolegę o *x*. długości pod względem artystycznego pomysłu. Przedmioty te są własnością dzielnych wyścigowców, którzy je zdobyli na wyścigach.

Przechodzimy teraz do dolnej sali. Na lewo mnóstwo stalowych rumaków dla jednego aż do pięciu jeźdźców, rowery i tandemy ciężkie i lekkie, tj. 5 kgr. wagi mające. Naprzeciw pawilon broni siecznej, firmy Weyersberg & Kirschbaum w Solingen, która wystawiła pałasze, rapiery, kordelasy i noże myśliwskie w setkach egzemplarzy, a udekorowała pawilon halabardami i bronią starożytną. — W głębi znajduje się nisza, gdzie fabryka F. Krupa z Essen wystawiła znakomicie obrobioną precyzyjną broń myśliwską, szybkostrzelne magazynówki, pięknie zdobione jedno- i dwururki oraz trzylufki. Widzimy tu także pojedyncze części zamków, lufy, kolby itd. — wszystko dokładnie obrobione.

Sala ta posiada również zdobny fryz, na którym przedstawiono w obrazach polowania z dawnych czasów, oraz nowoczesne, gdzie nie brak i komicznych postaci „Sonntagsjägerów", którym zające koziołki przed nogami wyprawiają. Tutaj widzimy trofea myśliwskie, jak głowy dzików i jeleni, ptactwo drapieżne, oraz wieńce, parostki i szable dzicze. Trofea te nie imponują mi wcale. gdyż mam w pamięci żywo pawilon łowiecki z wystawy lwowskiej. Tutejsi myśliwi z zawodu połykaliby ślinkę na widok tych odyńców, niedźwiedzi, wilków, rysiów i innych bestyj z pawilonu naszej wystawy — choć może niejeden Sonntagsjäger odczułby także i *Herzklopfen* na sam widok takiego zwierzątka nawet wypchanego. Idę o zakład, że większa cęść ozdobnych wyrobów z rogów i kłów, o których poniżej. wykonaną została z trofeów, importowanych częścią od nas, częścią z innych stron, a właściciele tych rogów w małej tylko liczbie padli z ręki niemieckich Nemrodów.

Z sal wyżej opisanych wstępujemy po wschodach na galerye i zaraz u wejścia na lewo, widzimy praktyczne legowiska dla psów, pomysłu Polaka Sulikowskiego, patentowane we wszystkich krajach Europy. Na ramie czworobocznej, opartej na krótkich nogach. naciągnięte jest płótno żaglowe oraz przymocowane blaszane naczynie na jadło i wodę. Oto cały pomysł, prosty lecz hygieniczny dla wszystkich psów. Na prawo gabloty ze sztućcami, strzelbami różnych systemów, broń szybkostrzelna magazynowa, rewolwerowa itd. Wystawcami są Robert Schrader w Göttingen, H. Pieper i A. Frank w Berlinie, G. Hänel i F. W. Kesler w Suhl (Turyngia). Pięknie wystąpiła fabryka nabojów, kul, śrutu itd. R. Hätge w Berlinie, obok zaś, na stołach w półkole ustawionych, spotykamy setki przeróżnych łapek, paści, żelaz do łapania żywcem szkodliwego zwierza i ptactwa drapieżnego, których wystawcą jest E. Grell w Heinau (Szląsk pruski) i inni Akc. Tow. wyrobu sucharów w Rummelsburgu koło Berlina wystawiło tu suchary dla karmienia psów, oraz karmę dla królików i drobiu.

Przechodzimy do sali, która mieści wyroby z rogów, kłów i kości zwierząt łownych. Wyroby tu zgromadzone imponują oryginalnością zastosowania i liczbą. Prześliczne umeblowania pokoju myśliwskiego aż do najdrobniejszych przyrządów, jak pióra i kałamarze, dalej pająki, zegary, ramy do obrazów i luster, sztalugi i wachlarze z ogonów cietrzewi, bransoletki, łańcuszki do zegarków i Bóg wie co — wszystko to zrobione ze zdobytych łupów myśliwskich. W pośrodku wisi olbrzymi pająk, na który złożyły się rogi, kły i zęby z 20.000 sztuk zwierzyny, oraz arcydzieło w swoim rodzaju: olbrzymi dywan z futerek rzadkich zwierząt australskich, na który użyto 20.000 kawałków futra z 5000 zwierząt. Sala ta mieści też przybory myśliwskie: torby, wojłoki, czapki, obuwie do polowań błotnych i w górach, kaftany, rękawice i t. p. akcesorya, w które się myśliwy zawodowy z potrzeby, a „Sonntagsjäger" dla zadania szyku ubiera. Zbiory te robią wręcz imponujące wrażenie nawet na profanie. Poznać, że zmyślne głowy niemieckie umieją wszystko zużyć i zbyć za dobre pieniądze.

Nasyciwszy się tym oddziałem, do którego należy jeszcze osobny budynek „Stajnia wzorowa", do której wrócę, przejdźmy z galeryi do grupy „Rybactwo."

Najpierw wchodzimy do olbrzymiej sali z oświetleniem górnem, o ścianach i wiązaniu dachu ciemno olejem napuszczanych, która rodzajem kolumnady jest na trzy oddziały podzielona. Fryz poniżej okien się ciągnący, zdobią fantastyczne malowidła na temat legend rybackich o „Syrenach", „Latającym Holendrze", „Wężu morskim" (który to i dziennikarzy w snach i szpaltach trapi), zaś u stropu sklepienia gustowne dekoracye z sieci rybackich. Przód sali zajęły łodzie wyścigowe w naturalnej wielkości, żaglowe i do wioseł; poza niemi plastyczne modele portów rybackich, oraz modele łodzi i barek. Boczne ubikacye mieszczą modele zaciągania sieci przy połowie śledzi, homarów itd., modele wędlarni i suszarni ryb, oraz plastyczny model wyspy Helgolandu. Szafy z wypchanem ptactwem morskiem, ubiory i przyrządy rybaków morskich, modele zastawionych więcierzy i zaciąganych sieci itp. uzupełniają tę grupę.

Stąd po wschodach dostajemy się na wewnętrzny balkon Na lewo wchód do restauracyi, gdzie można zjeść kawałek smacznie ugotowanej morskiej ryby, i do sali, gdzie się mieści wystawa marynarskich aparatów oraz statystyka marynarki rządowej. Na balkonie, w towarzystwie wypchanych ludojadów, jesiotrów i miecznika, widzimy czaszkę wieloryba z kompletnym fiszbinem. Objekt ten waży 30 cetnarów, z czego sam fiszbin 15 ctn. i przedstawia wartość 40 tysięcy marek. Naokoło widzimy olbrzymie żebra tego kolosu, oraz różne instrumenta, jak armatki dynamitowe do wyrzucania harpunów, któremi tego pływającego ssaka łowią. Po prawej stronie wejście do gabinetu naukowego, obok tegoż statystyka połowu ryb i konsumcyi tychże przez Niemców, w przeciwstawieniu do innych narodów, trudniących się rybołowstwem morskiem.

Pozwolę sobie przytoczyć tu kilka liczb. W roku 1894 wartość połowu ryb morskich wynosiła: w Anglii 144, Francyi $9^1/_2$, Norwegii 25, Niemczech 15 milionów marek. Połów śledzi dał w Anglii 24,495.000, w Norwegii 35,736.000, w Holandyi 9,555.000, w Niemczech 739.295 marek. Ciekawa jest cyfra konsumcyi śledzi w Niemczech. W roku 1894, oprócz śledzi własnego połowu za 739.295 m., sprowadzono jeszcze tych rybek za 24 milionów marek. Bawiąc w Berlinie od pół roku, podziwiam to objadanie się Niemców śledziami, zresztą nie kosztowne, gdyż śledź bardzo dobrze marynowany i duży kosztuje tu na naszą monetę nie całe 2 centy. Są tu najrozmaitsze sorty i nazwy śledzi, lecz nie wiem skąd się wzięła pewna sorta bez głów, pod nazwą żelaznego kanclerza, „Bismarck-Häring", bo Bismarkowi wielu zalet ludzkich odmówićby można, lecz głowy — ani rusz.

Ale wracam do rzeczy i zwiedzam gabinet naukowy. Tu widzimy najpierw bibliotekę fachową o rybactwie traktującą, aparaty i mikroskopy do badań naukowych, szkielety różnych ryb, oraz wypchane potwory morskie, jak *Raja batis*, „Dyabeł morski", olbrzymie kraby, polipy, małże, koralowce i wymoczki. Następnie w szafach naokoło stojących, w słojach poumieszczano setki ryb morskich i rzecznych, ikrę, wnętrzności i w ogóle całą anatomię ryb. Wygodnie można tu spędzić czas na czytaniu dzieł oraz badaniu rybiego świata. Ale nie ma na to czasu. Schodzimy tedy na dół i na prawo prowadzi nas kryty ganek do akwaryum, do którego można też wejść z przeciwnej strony przez dalsze ubikacye na lewo położone. Mieszczą one wystawę sieci morskich i używanych do połowu w stawach i rzekach, mnóstwo więcierzy różnych kształtów, dalej przędziwo i nici do robienia sieci, płótna, ubranie i obuwie nieprzemakalne. W drugiej sali są łapki na drapieżne zwierzęta, żyjące rybami, wędki, oście, oraz rybacka broń starożytna i obecna z różnych wybrzeży morskich; skrzynie do przechowywania ryb w wodzie, oraz wypchane ptactwo i zwierzęta, które żyją rybami. Salę tę pięknie dekorują siecie, oraz piękne i olbrzymie muszle morskie i wyroby z tychże, jako też akwarya pokojowe.

Przechodzimy do sali, w której wystawiono sztuczną hodowlę ryb, a więc wylęgalnie różnego rodzaju oraz chów raków. W wylęgalniach widzimy ikrę, dalej na pół rozwinięte rybki, aż do kompletnie rozwiniętego narybku, który wesoło w zbitej masie pluszcze się i rzuca jak żywe srebro. Obok widzimy pokarm sztuczny dla narybku, akwarya z florą rzeczną oraz owadami szkodliwymi dla narybku, tablice z uwidocznieniem niektórych chorób rybich, aparaty do łowienia, mierzenia i ważenia ikry, fotografie badań mikroskopijnych zarodków — słowem cały świat naukowy o rybach rzecznych i ich hodowli. Dla fachowców jest tu wiele do widzenia.

W drugim znajdującym się tu również gabinecie naukowym spotykamy bibliotekę i statystykę fachową, wraz z anatomią ryb rzecznych. Spotkałem tu ładne okazy karpia i lina z oznaczeniem „Galizische Rassen."

Na zakończenie naszej przechadzki po „Rybactwie" zwiedzamy piękne bardzo akwaryum, które w 80 oszklonych rezerwoarach mieści wszelkie gatunki ryb rzecznych i stawowych, oraz raków. Karpie, szczupaki, pstrągi, łososie i t. d. w bardzo ładnych i rosłych okazach, olbrzymie węgorze i okonie, wszystko to pluszcze się lub kokietuje przez szybę gości zwiedzających, a dziatwa nie posiada się tu z radości. Z okazów tych żywych i martwych wnosić można o systematycznej a wytrwałej pracy na polu hodowli ryb i poparciu gospodarstwa rybnego przez kraj i rząd. Świeżo wyczytałem w jednem z fachowych pism, że cesarz niemiecki wyasygnował z prywatnej swej szkatuły 4000 marek dla różnych towarzystw rybackich, by im ułatwić zwidzenie wystawy, a przyrzekł dalsze jeszcze poparcie.

Jako uzupełnienie mego opisu „Rybactwo" dodaję, że jest tu zaraz obok „Szwedzka wędlarnia ryb" w ruchu, oraz „Wzorowa stajnia", należąca do grupy „Sport", kompletnie urządzona i zaopatrzona w żywe rumaki wierzchowe i konie pociągowe, w połączeniu z wzorową masztalernią, pomieszkaniem zarządu stajni i stadniny, pomieszkaniem dla służby, składem paszy i t. d. Komfort absolutnie wykluczony, lecz tylko racyonalne i hygieniczne urządzenie spotykamy na każdym kroku, co należy podnieść z uznaniem.

Teraz wspomnę jeszcze o wystawie psów, która się tu odbyła w dniach od 29—31 maja br.

Wystawa mieściła się w namiotach z płótna na wolnem powietrzu i obejmowała pokaźną cyfrę 800 okazów psów rasowych do polowania, oraz psów zbytkowych, jak dogi, pudle, pincze itd. z różnych psiarni rasowych psów. Wystawcą psów do polowania był myśliwski klub niemiecki, oraz psiarnia cesarza Wilhelma II, która dostarczyła przeszło 30 sztuk. Psy owczarskie, oraz wilczaki (krzyżowane z wilkami), dalej rasa nowofundlandzka również licznie i w pięknych okazach były zastąpione.

Psy legawe, kurlandy, oraz jamniki czystych ras, znakomicie ułożone do pola, zasłużyły sobie na ogólną pochwałę. Szczególniejszą uwagę zwracały na siebie charty rosyjskie o długim jedwabistym włosie, białe lub czarne. Szkoda tylko, że nie można było ich widzieć jak idą spuszczone ze smyczy. Dobrze wyglądały silnie zbudowane wilczaki; zaciekłość i od-

waga błyskały im z zielonych oczu. Prześliczne były dogi, wystawione przez „klub niemiecki chowu dogów“; niektóre zupełnie jak tygrysy, maści żółtej w czarne pręgi, również zajadłe buldogi z nosami rozdzielonymi. Bernardyny, prawdziwe kolosy, pomimo bujnej sierci uwydatniały się potężną budową i wielkością. Pincze i pudle bardzo ładne i tresowane umiejętnie ogólnie się podobały.

W każdym gatunku widać było racyonalny chów i staranność w utrzymaniu rasy; nie dziw zatem, że Jury była w niemałym kłopocie, komu przyznać I nagrodę. Zdobył ją hodowca psów rasowych Lotze za dwa harty rosyjskie „Nagraždaja II“ i „Meduzę.“ Psiarnia cesarska również była premiowana, a najliczniejsze nagrody zabrał „niemiecki klub myśliwski.“

Zobaczywszy tę zgraję pięknych i tak dobrze pielęgnowanych psów rozumiało się na odwrót wykrzyknik: p s i e ż y c i e, bo gdyby temu, co je wypowiedział, działo się tak, jak psu rasowemu, to nigdyby tego nie wyrzekł. *J. T.*

W a r s z a w a w czerwcu.

(Język na torturach wyścigowych.)

Nie jestem koniarzem i nie myślę mówić o pożyteczności wyścigów — interesuje mnie tylko język w sprawach wyścigowych i wprost uczucie miłosierdzia powoduje mną, że chcę o nim mówić.

Łowy i koń mają w Polsce swoje przepiękne tradycye. Rycerstwo przeżyło część swego życia na łowach, w kniei, w pościgach za zwierzem i pohańcem — jadało i spało na koniu — centaurem istnym stawał się szlachcic czy zaporożec — to też łowy i koń wytworzyły swoją przepiękną, obrazową gwarę, wzbogaciły język tysiącem wyrażeń, zwrotów i przysłów, jak może żaden inny. Każdy szlachcic umiał konia „zażyć“, umiał go „dosiąść“, „toczyć“ nim po stepie, czuł czy miękki czy twardy w pysku, wiedział, że konia „rączego“ „chlustać“ nie trzeba, szukał na koniu żołnierskiego chleba, bywał na koniu i pod koniem, bywał szczęśliw, jakgdyby go kto na sto koni wsadził, zrósł się z tym wiernym przyjacielem tak, że tużyli wzajem za sobą, a gdy umierał, to sobie jeszcze najmilszego konia kazał na pożegnanie przyprowadzać.

Tak bywało, i nie dziw, że wszystko to odbiło się na wiek wieków w języku. I jeśli jeszcze dziś mówi łowiec o „mysiach“ „odyńcach“ „basiorach“ „mykitach“ i „szarakach“ — jeśli zna „świece“ u jelenia, „szarawary“ u niedźwiedzia, „gwizd i szable“ u dzika, „skoki“ u zająca — to może dla zupełnego profana staje się niezrozumiałym, przypomina nam wszakże całą piękną przeszłość, łączy nas z nią i każe kochać.

Ale u miłośników koni nadeszła bardzo a bardzo niekorzystna zmiana. Gdy wzięli pierwszego wyścigowca i dżokeja z Anglii, wzięli z nimi także zarazę językową — profanują piękną polską mowę i rozciągają ją formalnie na torturach.

Ktoś przecież musi to wytknąć i oburzyć się tem. A jak Czapski z poszanowaniem dla dziejów, dla tradycyi, dla zabytków języka stworzył wiekopomną monografię konia, która może pierwszą wśród zawodowych dzieł o koniu w literaturach europejskich — tak między miłośnikami wyścigów znalešćby się powinien znawca i dobroczyńca, któryby wkroczył nareszcie całą swą powagą w tę sprawę, skarcił poniewieranie ojczystego języka, i korzystając z tradycyi językowych wytworzył słownictwo zawodowe, któreby nam tak po sercach nie zgrzytało, jak dzisiejsze *cohu-bohu* sportsmeńskie.

Posłuchajmy jak ono brzmi. Cytaty bierzemy żywcem z „Jeźdźca i Myśliwego“ i z ostatnich wyścigów warszawskich.

Rozpoczynamy opinią o klaczy „Impatient“. „Odnośnie performance, to „Impatient“ współzawodniczyła, jako dwuletnia, w dobrej kompanii trzy razy i była raz trzecią i raz drugą, w tym roku jeszcze za granicą nie biegała. Mało koni widzieliśmy na torze tak sznytowych (!) jak wzmiankowana klacz, która miała być zapłaconą bardzo poważną sumę“ (?!).

Jakim to jest językiem? „Performance“ — koń „sznytowy“! Czyż już nie było polskich wyrazów? A cóż za składnia!

Idźmy dalej. „„Matadorowi“ leaderował „Pepercorn“ przez półtory wiorsty drogi. Następnie syn „Galaora“ i „Miry“ musiał sam tempo robić, bo słabnącego leadera wyprzedziła „Vittorya“ i „Lucyper“... Ale szybowano już do słupa“ i t. d.

Na cóż tu nieszczęsny leader i leaderować, kiedy gdzieindziej użyto wybornie; przodownik, przodować — koń wysunął się naprzód, na czoło? Na cóż koniecznie „syn Galaora i Miry ma robić tempo“? — a kto gdzie i kiedy widział „szybującego“ konia. To się mówi o orłach, o sokołach, ale nie o koniach. „Tmczasem „Hungaria II“ sprawiła niespodziankę i w ślicznym rush'u na ostatnich sążniach wydarła zwycięstwo o długość szyi“ i t. d. Więc Hungaria robiła jakiś „rush“, który jednak nie pochodzi wcale od „ruszania się“ i biegała „na sążniach“?!

Idźmy dalej. „Od startu poszły konie dobrze zgrupowane, pierwsze przeszkody mur i ruchomą baryerę prawie równocześnie skakały... a siwy ogier przy następnych przeszkodach chciał wyłamywać i brał je niechętnie, w wyścigu już prawie nie był i robił go na swoją rękę“ *Horrendum!* Cóż tam były za skakające przeszkody? Co siwy ogier wyłamywał, drzewa? Czy sam się z początku wyłamywał? I jak „robił wyścig“ nogami „na swoją rękę?“ Gdzież tu najelementarniejsze poczucie poprawności języka?

„Gonitwę poprowadziła „Concorde“ jak mogła najszybszem pace“. Oj, gdyby sprawozdawca był jeszcze w szkołach, toby mu się należały za to — nie angielskie „pes“, ale polskie „pace“ — bo koń ma „chody“ nie „pes“, a jak zgrabny, to ma „gładkie stąpanie“ jak mówi Kromer.

Lecz oto dalszy cytat: „Crack pobity przez leadera, rzeczywiście to dosyć oryginalne — i podobny fakt dowodzi, jak nasi dżokeje nie zdają sobie sprawy z tempa i odległości na jaką konia, idącego za führera, odpuścić można“. Panie Wotcwski, już chyba dość „leadera“, na cóż jeszcze „führera“ O ile wiem w Austryi znają tylko kucharki „führerów“ t. j. aspirantów na kaprali, a jeśli się co po polsku „odpuszcza“, to tylko grzechy, bo konia się wypuszcza.

„Wyścig od drugiej przeszkody zmienił się na walkower. Poprowadziła „Typhoea“ i bardzo dobrze skoczyła zielony płot — a „Wreabs“ szedł z tyłu i skacząc mur zaczepił kolanami...“ Gwałtu! Czyż można skoczyć „coś“ — czyż ta obrzydliwość językowa musi koniecznie należyć do elegancyi sportu? Niechże już konie „biorą przeszkody“ — choć i to nie jest w duchu języka polskiego — jeśli nie mogą p r z e z przeszkody skakać.

Mielibyśmy jeszcze mnóstwo podobnych cytat, lecz poprzestaniemy na tem i dodamy tylko kilka takich wyrażeń, które się często powtarzają. I tak: dosiadają koni „gentelmani“ choć ich już dziś nikt o tarczę herbową nie pyta — czemuż

nie „zapaśnicy?“ „Rusałka jeżdżona przez rotmistrza L.“— otóż można na koniu jechać, można go ujeździć i zajeździć, ale koń nie może być „jeżdżonym“ i tylko reporter tak piszący musi być przez każdego profesora gramatyki zjeżdżonym. „Hultaj“ dosiadany przez p. K.“ To niemożliwe; p. K. dosiadł „Hultaja“ i koń jest „pod“ panem K., przez niego prowadzony, naciskany, kierowany itd. ale nie „dosiadany“, tak jak nie może być „stane“ krzesło, choć człowiek na niem stanął. Dalej jeden koń skończył gonitwę „drugim“, inny „dobrym trzecim“ i t. d. Cóż to znowu za forma? Rumak kończył gonitwę „drugi z rzędu“ inny był „czwartym z kolei“ — ale nie kończył drugim lub czwartym. Nie zawsze dobrze brzmi wyrażenie „konie biegają“, bo bieg (bieganie. biegunka) jest nie zbyt szybkim, i nie oznacza malowniczo „ścigania się“ koni. Koń nie „dochodzi“ konia na arenie, lecz go dopędza, bo dochodzi się wolno do jakiegoś miejsca, albo dochodzi się do czegoś (w sądownictwie) albo owoc dochodzi (dościga) — wszystko nie tak spiesznie, jak koń na torze wyścigowym. Co jest „nagroda sprzedażna“ „wyścig sprzedażny“? — Czy można nagrodę lub wyścig sprzedać, czy konia który się o nagrodę ściga?

„Ranna robota“ — „handicap dżentelmeński“, „finish malowniczy“, „syn „Rulera“ jest poza formą“, „klacz zamienia konia w trzech czwartych drogi“ — oto dalsze potworki językowe z areny wyścigów.

Cóż na to panowie sportsmeni? Czy chcecie dalej język kaleczyć, koszlawić i torturować? Czy nie myślicie o poprawie? Wszak macie Krzysztofa Dorohostajskiego, Michała Oczapowskiego, Maryana Czapskiego i wielu innych, którzy dobrze i pięknie o koniach pisali. Wróćcie tedy do dobrych wzorów i dobrych źródeł językowych, trzaśnijcie o ziem niedorzecznemi przymieszkami angielszczyzny i przestańcie piękną mowę ojczystą torturować! *J.*

KRONIKA.

Gołębie pocztowe. Dnia 14 czerwca odbyły się próby lotu gołębi pocztowych między Krakowem a Wiedniem. Rezultat był nadspodziewanie świetny. Gołębie wypuszczone o godz. 6 rano w Krakowie były w Wiedniu już o godz. 10 min. 15 rano, a zatem przestrzeń 338 klm. przeleciały w 4 godzinach 15 minutach. Jest to szybkość 1216 metrów na minutę.

Zarybianie naszych rzek. „Okólnik“ kraj. Towarzystwa rybackiego zamieścił wiadomość, że dyrektor zakładu hodowli ryb w Hüningen w Alzacyi p. H. Haack ofiarował Towarzystwu 4000 sztuk węgorząt które rozpuszczone zostały do rzek naszych, a mianowicie: do Seretu 2000 sztuk, do Dniestru 1000 sztuk i do Zgniłej Lipy 1000 sztuk. Na miejsca przeznaczenia nadeszły węgorzęta pocztą, w drodze jednak wiele sztuk zmarniało. Przy rozpuszczeniu narybku byli pomocni: p. Noss Ludwik, burmistrz w Czortkowie, tudzież magistraty miejskie w Bursztynie i Haliczu. Rozpuszczenie węgorząt nastąpiło w miesiącu kwietniu.

Postarano się także o zarybienie sandaczem dorzecza Wisły. Smaczna lecz stosunkowo droga ta ryba żyje w rzekach naszych tak bałtyckich, jak i czarnomorskich, w obu jednak nie bardzo obficie. Aby więc podnieść stan rybny sandacza w rzekach naszych, zakupiło Towarzystwo rybackie od zarządu dóbr ks. Schwarzenberga w Wittingau milion ikry sandacza. Wychowania narybku z tej ikry podjęli się bezinteresownie p. Adam Jordan, właściciel dóbr w Więckowicach nad Dunajem i p Zygmunt Fiszer w Zatorze nad Skawą. Ikra nadeszła w stanie bardzo dobrym 500.000 sztuk do Więckowic i 500.000 sztuk do Zatora i umieszczoną została w wodzie bieżącej w Dunajcu i Skawie w koszach wiklinowych, z których narybek po wylęgnięciu przez szpary plecionki do rzeki dostać się mógł. Wylęg odbył się prawidłowo w miesiącu maju, a według obliczenia w przybliżeniu, uzyskano z ikry conajmniej 800.000 narybku sandacza. który zbogaci dorzecze Wisły.

Złapał niedźwiedź złodzieja. Do karczmy w Pilwiszkach (w Prusiech wschodnich) przybył na nocleg cygan produkujący się z niedźwiedziem. Niedźwiedzia umieszczono w stajni obok sprzedanego właśnie tuczonego wieprza. W nocy straszliwy krzyk i ryk obudził ludzi ze snu. Cygan pogonił do stajni, w której zastał drzwi wyłamane i człowieka wijącego się w objęciach mysia. Na zawołanie cygana mysio puścił człowieka, który drząc i lamentując przyznał się karczmarzowi, że chciał ukraść wieprza, ale sznur zarzucił niedźwiedziowi, ten zaś go złapał i tak uścisnął, że mu wszystkie kości trzeszczały. Policya odwiezła biedaka ze złamaną ręką i zgniecionemi piersiami do szpitalu. Zapewne na długo przejdzie mu gust na wieprzowinę.

Ruja borsuków. Zwierzęta wprowadzają nieraz w kłopot przyrodników co do czasu swej rui i lęgu. Widocznie, że i im zdarza się coś takiego, co przekracza granicy konwenansu i nie jest regulaminem natury przepisane. I tak Brehm naznacza dla borsuka czas rui na październik, a nas myśliwi naznaczają ruję na listopad, a czas noszenia na 12 do 15 tygodni. Tymczasem p. M. Weitman z Marienhofu koło Waidhofen w Niższej Austryi zamieścił w *Jagd Ztg.* następującą wiadomość. D 4. października 1894 schwytano u niego borsuka, samicę i zamknięto w osobnej klatce. Jedna, jedyna przespała ona tu całą zimę i dnia 3 marca 1895 wydała na świat pięcioro zdrowych borsucząt. Licząc więc najskromniej, nosiła przez 21 tygodni. Czyli taka różnica między datami przyrodników a przyrodą jest możliwa? Czy może sen zimowy borsuczycy w nienormalnych warunkach wpłynął na taką zmianę terminu? Niech sobie pp. przyrodnicy łamią nad tem głowę.

Gołębie Nansena. *Pet. List.* donosi: Dwa gołębie pocztowe, wysłane — jak przypuszczają — przez Nansena, zostały schwytane wkrótce po odpłynięciu z Norwegii parowca „Fram“. Z Kopenhagi donoszą, że jesienią r. z., na pokładzie okrętu norwegskiego „Elmerik“, znajdującego się pod ten czas na morzu Białem, schwytany był gołąb pocztowy z odznaką na nodze „Rok 1893“ i literą „N“. Na zasadzie tego uczyniono przypuszczenie, że gołąb należał do Nansena. Znaleziono przy nim depeszę zamkniętą w futerale, także naznaczonym literą „N“ i rokiem „1893“. Ale sama depesza, wskutek nieprzebaczalnego niedbalstwa kapitana okrętu, została zniszczoną, nie będąc przezeń zrozumianą. Drugi gołąb ujęty został przez jednego z majtków parowca duńskiego „Konstanty“, podczas gdy znajdował się on na morzu Północnem pomiędzy Norwegią i Szkocyą i niedawno dostawiony został przezeń dyrektorowi Creedlandowi, znanemu miłośnikowi i znawcy sportu gołębiego. Gołąb ten, niezwykle rosły i silny, ma także na nodze znak „N 1893“. Jego średnie pióra w ogonie, na których przytwierdzonym bywa zwykle futerał z depeszą, zostały obłamane i to daje zasadę do przypuszczenia — powiada pomieniony dziennik — że wysłana z nim wiadomość od znakomitego podróżnika została straconą w skutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Nieszczęście. Do kancelaryi ekonomicznej wchodzi polowy.

— Cóż tam nowego Franku?

— A nic, prose wielemoznego pana, ino Maciek psystawił drabinę na trzy sągi do dęba, żeby zdjąć gniazdo jastrzębiowe i spod.

— Jezus Marya! Czy zabił się na mniejscu?

— Gdzie ta!

— To pewnie nogi połamał.

— Ej, gdzie ta, prose wielemoznego pana, dyć on spod ino z piersego scebla!

Redakcya „Łowca" posiada jeszcze małe zapasy
Roczników „Łowca" z lat 1892, 1893, 1894
Każdy rocznik zbroszurowany kosztuje zł. 3·50.
Dwa roczniki razem **6** złr. — Wszystkie trzy razem tylko **8** złr. w. a.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.